EPOKA

ROK III. Warszawa, 20 listopada 1936 r. Rok III, Nr. 12 (77)

Treść numeru:

OKIEŁZNAĆ ŻYWIOŁ ROZBESTWIONY!

Trwały spokój na wyższych uczelniach nie byłby zbyt trudny do osiągnięcia. Zdecydowana postawa szefa rządu, niedwuznaczne oświadczenie ministra oświaty i uzasadniona interwencja władz bezpieczeństwa publicznego już w znacznym stopniu przyczyniły się do uświadomienia różnych awanturników, warchołów, również — pospolitych zbirów, że nie będą korzystali z bezkarności. Dano im do zrozumienia, że sankcja ich wyczynów, jaką otrzymują ze strony najpodlejszych odmian endecji, nie będzie dla nich dość mocnym oparciem na przyszłość. Awans, jaki otrzymywali z tej strony, był im niemałą podnietą: dość było pobić studenta Żyda, by odrazu zdobyć tytuł narodowego działacza i dobrego patrioty. Łatwość tej „zasługi" pociągała wielu zdziczałych matołków.

Do jakiego rozbestwienia dojść może ten gatunek „działaczów", o tem świadczą takie oto wskazania, wydrukowane w jednym ze świstków O.N.R.-owskich:

> „Krzyki, zbiegowisko — z tłumu wypada, trzymając się za głowę jakaś postać — jedna, druga — Żydów biją. Wzdrygniesz się. Tylu na jednego. Ta krew tak niepokojąco jakoś wygląda... Żydów wprawdzie nie lubisz, ale tak bić? Właśnie tak!... Nie przejmuj się widokiem krwi — żołnierzowi w pierwszej potyczce też tak jakoś niewyraźnie, ale po tym... Bij, bij zawsze i wszędzie, bij tym, co ci pod rękę wpadnie, bij czym najlepiej się bije. Czy krwawiąca Hiszpania nic nie mówi?"

Świadkowie krwawych awantur stwierdzają, że grupy tych opryszków dochodziły do zupełnego zezwierzęcenia, właśnie na widok pierwszej krwi, który nietylko ich nie przerażał, ale dodawał im jeszcze większego „wigoru". Gdyby mogli, urządziliby rzeź według wszelkich prawideł pogromu.

Wśród ogółu akademickiego i wśród szerokich warstw społeczeństwa nastąpiła po niedawnych awanturach dość silna reakcja. Zrzeszenia młodzieży w różnych deklaracjach potępiły akcję nieprzytomnej mniejszości. Prasa wszystkich odcieni politycznych — z wyjątkiem, oczywiście, pism endeckich — wystąpiła również w obronie godności uczelni i honoru akademika. Mamy tu podział wyraźny: mniejszość nieprawomyślną, anarchiczną, wichrzycielską, rozbestwioną i większość, która potępia wszelkie barbarzyństwo.

Kładziemy nacisk na określenie owej mniejszości, jako żywiołu *anarchicznego*. Jest to jej cecha podstawowa i naczelna. Nie istnieją dla niej pojęcia prawa i moralności. Myśli tylko o takich środkach gwałtu, któreby mogły doprowadzić ją do chwycenia władzy w swoje ręce.

Pisarz francuski, Karol Maurras, skazany został na osiem miesięcy więzienia za to, że na szpaltach dziennika *„L'Action Française"* nawoływał do zamordowania premiera Bluma.

„Warszawski Dziennik Narodowy" pisze:

„Osadzenie takiego człowieka w więzieniu charakteryzuje położenie obecne we Francji. Jest prostą i naturalną konsekwencją opanowanie państwa przez żywioły skupiające się w t. zw. „froncie ludowym" i przygotowujące nadejście komunizmu... Uwięzienie Maurrasa jest epizodem w tym wielkim przeobrażeniu, jakie przeżywa Francja współczesna. Należy ono do tej kategorii zabiegów, które wbrew intencji ich autorów wzmacniają ruch, który chcą zniszczyć".

Więc Karol Maurras miał się cieszyć bezkarnością dlatego, że jest wybitnym pisarzem i jednym z wodzów nacjonalizmu francuskiego, chociaż nawoływał do zamordowania szefa rządu? Oburzenie *Warszawskiego Dziennika Narodowego* doskonale harmonizuje z apoteozą Niewiadomskiego, z usprawiedliwianiem Doboszyńskiego i z sankcją, udzielaną sprawcom krwawych rozpraw na wyższych uczelniach.

Do tej sankcji przyłączyło się pismo *„Prosto z Mostu"*, w którym czytamy:

„Co jesień wybuchają na wyższych uczelniach w Polsce zamieszki przeciwżydowskie. Co jesień stateczna opinia publiczna oburza się i gromi młodzież za stosowanie metod, nie licujących z godnością akademika. I trudno tej opinii odmówić słuszności, gdy się czyta opisy zajść, jakie mają miejsce na uniwersytetach.

Ale równocześnie, gdy zajrzeć do Małego Rocznika Statystycznego i stwierdzić, że procent żydów na wyższych uczelniach w Polsce, rosnący niepowstrzymanie od r. 1913, zaczął się wydatnie zmniejszać dopiero od chwili, gdy pierwszy raz wybuchły w gmachach uniwersyteckich jesienne zamieszki — sprawa nabiera nowego oświetlenia. Czy winić młodzież, że ucieka się do środków, jakie ma do dyspozycji?..."

Innymi słowy: skoro okazuje się, że wskutek „zamieszek" zmniejsza się odsetek Żydów na wyższych uczelniach, w takim razie „sprawa nabiera innego oświetlenia", w takim razie niech biją Żydów w dalszym ciągu i w ten sposób „własnymi środkami" wprowadzą numerus clausus.

Oto jest znowu stanowisko pisma, które pretenduje do pewnego poziomu kulturalnego.

*

Do spokoju na wyższych uczelniach nie przyczyniają się w stopniu należytym pp. rektorzy. Większość rektorów zajmuje postawę fałszywą, lękliwą, nieraz wręcz tchórzliwą. Oskarżamy tę większość o niedostateczni:e silną obronę uczelni przed barbarją, o liczenie się z t. zw. „nastrojami" najgorszej części młodzieży, o brak męskiej decyzji w chwilach, kiedy decyzja taka położyłaby kres „zamieszkom".

Pp. rektorzy Szkoły Głównej Handlowej, Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego, Politechniki Warszawskiej i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w oświadczeniu, wystosowanym do ogółu młodzieży akademickiej, powiadają, że „wkroczenie władz bezpieczeństwa na tereny wyższych uczelni uważają za prawdziwe nieszczęście". Byłoby rzeczą słuszną, gdyby pp. rektorzy położyli silniejszy nacisk na to, że prawdziwym nieszczęściem są wydarzenia, które zmusiły władze bezpieczeństwa do interwencji.

A dla tych władz powinno i musi być rzeczą obojętną, po której stronie kraty oddzielającej ulicę od terenu uczelni, toczą się krwawe rozprawy. Skoro władze wyższych uczelni kresu tym rozprawom położyć nie zdołały przez właściwe zarządzenie i niezbędne represje, wkroczyć tu musiały władze bezpieczeństwa publicznego.

W Polsce istnieje jeszcze prawo, które musi zwyciężyć, obezwładniając żywioły rozbestwione i anarchiczne.

WIELKIE IMIĘ

Ignacy Daszyński wódz socjalizmu polskiego, trybun ludowy, parlamentarzysta, pisarz, premier pierwszego rządu ludowego w niepodległej Polsce, marszałek trzeciego Sejmu, zmarł dn. 31-go października 1936 r. w Bystrej na Śląsku.

Ten niestrudzony i nieugięty bojownik wolności należy do świetnego pocztu wielkich postaci, które własnym duchem płomiennym rozżarzali ogniska buntu przeciw ciemięstwu i niewoli.

Ignacy Daszyński, zahartowany niemal od dzieciństwa w twardej szkole życia, szedł niezmiennie naprzód, gorejąc idealizmem i łamiąc przeszkody, piętrzące się na drodze wyzwolenia narodu z obcej przemocy i rzesz pracujących z niewoli społecznej.

Patrząc dziś na wspaniałą panoramę całego jego życia, pełnego zmagań i niepowszednich tryumfów — widzimy, iż jego żywiołem jedynym była walka. Walka co dnia i na każdem polu, we wszystkich dziedzinach życia polskiego — z zacofaniem, wstecznictwem, klerykalizmem. Walka o unowocześnienie urządzeń społecznych i państwowych, o prawa wyborcze dla wydziedziczonych, o zdemokratyzowanie oświaty. Walka o godność i dostojeństwo pracy, o prawo swobodnego i krytycznego myślenia. Pionier i posłannik myśli socjalistycznej, Ignacy Daszyński, potęgą swojej woli świadomej i swoją siłą moralną wstrząsnął całem życiem dawnej zatęchłej Galicji, obudziwszy do życia masy robotnicze i chłopskie i wychowując je nie w duchu wiernego poddaństwa, lecz obywatelstwa. Ignacy Daszyński, promieniując przez lat pięćdziesiąt na życie polskie naprzód w b. zaborze austriackim, i potem w niepodległym państwie polskim, — był nie tylko nosicielem światła i przodującym szermierzem o nowe życie, lecz stanowił także ostoję moralną i uosobienie honoru demokracji polskiej.

Ignacy Daszyński całem swojem życiem dowiódł, że zasady i ideały przyjęte jeszcze w młodości były mu droższe nad wszystko i o nich mógł powiedzieć z poetą: tam jest krew moja! Nie zboczywszy na chwilę z obranej przez siebie drogi, Ignacy Daszyński stał się pięknym wzorem, jak żyć i walczyć należy. Biorąc przez pół wieku udział w tworzeniu nowych dziejów polskich, stał się sam chlubną ich cząstką nieodłączną, zdobywszy w trudzie ofiarnym wielkie imię i zasłużony rzetelny hołd narodu.

ZWYCIĘSTWO ROOSEVELTA NA TLE SOJUSZU FASZYZMU Z HITLERYZMEM

Ponowny wybór Franklina Delano Roosevelta na prezydenta Stanów Zjednoczonych na nową czteroletnią kadencję do 1940 r. włącznie jest zapewniony. Wybory elektorów dokonane w d. 3 listopada zapewniły mu, w kolegium wyborczym nie tylko większość, ale wielki tryumf.

Z 48 stanów — 45 dały elektorów stronnictwa demokratycznego, a tylko 3 wypowiedziały się za partią republikańską, której kandydatem był Alfred Landon — gubernator Kansas. Prezydent Roosevelt zupełnie słusznie w mowie do ludu, wygłoszonej nad ranem d. 4 listopada powiedział: „Takiej lawiny głosów kraj nasz jeszcze nigdy nie widział. Zgnietliśmy przeciwnika!" Istotnie jest to wypadek bez precedensów, czyli używając ulubionego wyrazu amerykańskiego — rekord Roosevelta zdobył z górą 25 milionów głosów. Bez przesady można powiedzieć, że ten jego sukces jest znamieniem nowej ery w polityce Stanów Zjednoczonych. Nie dla tego, by Roosevelt rozpoczął obecnie w nowej kadencji jakąś inną politykę i odstąpił od swojej polityki „new deal" (nowego ładu), ale właśnie dla tego, że pójdzie dalej tą samą drogą, że ją utrwali i rozszerzy, mając przed sobą pełne 4 lata swobody działania. Liczba głosów, którą otrzymał Roosevelt, dowodzi, że w umysłowości i nastrojach społeczności St. Zjednoczonych Ameryki Północnej zaszedł prawdziwy przewrót. Za Rooseveltem głosowali nie tylko stronnicy „demokratów", głosowali też „republikanie". Sądząc zaś z głosów, które padły na Landon'a, z okręgów, w których „republikanie" nagle zyskiwali adherentów, śmiało można orzec, że tradycyjny podział na partie „wielbłąda" demokratycznego i „słonia" republikanów przestał istnieć. Bywały już nieraz przykłady, że Amerykanin głosował, kierując się sympatią osobistą. Jak wskazują, niewątpliwie w wyborach powojennych głosowano przeciw Wilson'owi, nie rozumiejąc jego stanowiska ideologicznego, niewątpliwie również w 1932 r., gdy po raz pierwszy zwyciężył uśmiechnięty Roosevelt, zapowiadający nowy okres „prosperity", głosowano przeciw ponuremu Hoover'owi, którego prezydentura przyniosła krach „business"'ów i „boom"'ów. Ale ten współczynnik osobistych sympatii nie był decydującym. Po raz pierwszy wybory elektorów prezydenta w Stanach Zjednoczonych nie były porachunkami między dwiema klikami z tej samej warstwy, dzierżącej władzę w ręku, lecz — przeciwnie — miały charakter walki o program, o zasady, o kierunek, który dla uproszczenia nazwijmy europejskimi terminami — prawicy i lewicy. Roosevelt jest człowiekiem najbardziej znienawidzonym przez tak zwany „big businness" t. j. wielki handel, wielki przemysł, wielki kapitał. Stamtąd padało przeciw niemu oskarżenie o ukryty komunizm. Cała polityka gospodarcza i społeczna Roosevelta, zahamowana do pewnego stopnia przez Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych była łamaniem super - kapitalizmu amerykańskiego, egoizmu klas posiadających na rzecz warstw pracujących. „New deal" przede wszystkim stanowił łańcuch aktów ingerencji państwa na rzecz pracownika.

Oto dlaczego w obozie przeciwników Roosevelta znalazł się nie tylko Al. Smith, który jeszcze w 1928 roku był kontr-kandydatem demokratów przeciw republikańskiemu Coolidge'owi (następcy Wilson'a), ale znalazł się w tym obozie także i cały koncern Hearst'a, niegdyś najwierniejsza opoka demokratów i wróg republikanina Wilson'a.

Smith i Hearst wspierali Landon'a przeciw Rooseveltowi, rozumiejąc istotę położenia tak samo, jak zrozumiały ją szerokie masy wyborców, niosąc miliony swoich głosów do urn na rzecz Roosevelta. Ogromna większość istniejących w Stanach Zjednoczonych organizacji pracowniczych i robotniczych prowadziła kampanię na rzecz Roosevelta. Ten blok pracowniczy — to zupełnie nowe zjawisko w Ameryce Północnej, zapowiedź dalszego rozwoju wydarzeń. Na razie pomijając stosunkowo nieliczne głosy na demonstracyjnych kandydatów socjalistów i komunistów ogół robotniczy w Stanach Zjednoczonych głosował obecnie za Rooseveltem (ściśle biorąc za wyborcami — demokratami), podczas gdy w poprzednich kampaniach te miliony głosów dzieliły się nieomal porówno pomiędzy demokratami a republikanami. Jeszcze w 1932 r. przy pierwszej kampanii wyborczej Roosevelta, John Lewis przywódca amerykańskich związków zawodowych głosował i agitował za Hooverem przeciw Rooseveltowi. Za nim głosowały obecnie wszystkie czynniki postępu, które dawniej gromadziły się raczej w partii republikańskiej. Dla przykładu warto przytoczyć stan New-Hampshire dawniej „cytadelę" republikanów. Obecnie gubernator tego stanu (z wyboru nie z nominacji) p. Winant członek partii republikańskiej b. dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie prowadził kampanię na rzecz Roosevelta. Ta zmiana w nastrojach i poglądach tłumaczy całkowicie, dlaczego zawiódł zupełnie tradycyjny plebiscyt próbny czasopisma „Literary Digert", który dał większość głosów Landon'owi. Dopóki kwestia społeczna nie grała roli, plebiscyty próbne tego czasopisma były miarodajne. Gdy ona weszła na stół, głosowanie dawało tylko obraz życzeń czytelników czasopisma, a nie nastrojów większości społeczeństwa. Kadry dotychczasowych tradycyjnych partii amerykańskich nie są rzecz prosta, jeszcze rozbite, ale niewątpliwie utrwali się nowy między nimi podział. Ustali się między nimi stałe przeciwieństwo: z jednej strony zwolennicy postępu, sprawiedliwości społecznej i demokracji — to stronnicy Roosevelta, z drugiej czynniki reakcji politycznej i społecznej. Naród amerykański wypowiedział się za Rooseveltem, za jego reformami społecznymi.

Dnia 4 listopada pobity kontr-kandydat Landon telegrafował do zwycięzcy Roosevelta. „Naród amerykański wypowiedział się — telegrafował pokonany do przeciwnika, którego przez całe tygodnie jaknajostrzej zwalczał — wszyscy uznają słuszność tego orzeczenia i będą współpracować z panem dla dobra wspólnego całej ojczyzny. Zawdzięczamy to duchowi demokratycznemu, który cechuje nasz ustrój państwowy"

Czytano ją zapewne z ironicznym uśmiechem w Berlinie i w Rzymie, bo tam demokracja uważana jest za zakałę i przeszkodę rozwoju ludzkości. W tym samym dniu, kiedy wielki demokrata, twórca ustaw

społecznych w Stanach Zjednoczonych Roosevelt odnosił swoje zwycięstwo, „wodzowie" faszyzmu i hitleryzmu zawarli na tajnej naradzie w Berchtesgaden swoje święte przymierze nazywające się sojuszem „w walce z komunizmem". Co się pod tym tytułem kryje, wszystkim wiadomo: mowy pp. Goeringa, Goebbelsa a później medjolański speech Mussolini'ego nie pozostawiły żadnych wątpliwości, że dwuprzymierze włosko-niemieckie ma na celu nową wojnę dla nowych zdobyczy. Ministrowie niemieccy, czując przy sobie potężne poparcie czarnych koszul pomimo głodu po miastach niemieckich, nabrali odrazu pewności siebie i nie zawahali się nawet zaczepić Anglię. Z ust tych satelitów Hitlera padły pod adresem W. Brytanii oskarżenia o zubożenie Niemiec i pretensje do kolonii. Odpowiedzią był protest dyplomatyczny i ciekawy rachunek przedstawiony w izbie gmin z trybuny. Z rachunku tego wypada, że Niemcy wypłacili t. zw. odszkodowań około 8 miliardów mk. niem. w złocie, a wyciągnęli pożyczkami, których nie płacą około 32 miliardów mk. niem. w złocie, zużywając to wszystko na zbrojenia!

Odpowiedź brytyjska na zaczepkę była spokojna, ale stanowcza. Dodano do niej, że nigdy przyjaźń W. Brytanii z Francją nie była tak ścisła i serdeczna jak teraz. Nie wiadomo, czy nie pod wpływem tej odpowiedzi rzymski przyjaciel Hitlera nieomal nazajutrz po buńczucznej i wojowniczej mowie medjolańskiej po mowie min. Edena udzielił wywiadu, w którym wyciąga rękę do zgody z Londynem. W Berchtesgaden wywołało to pewne zdziwienie. Pociechą w okresie, gdy czynniki demokracji i postępu nie decydują o położeniu na świecie, jest, że żywioły reakcji i zacofania przez chciwość i zaborczość nie są w stanie zawrócić koła historii. Zwycięstwo Roosevelta jest jednym z dowodów, że przecież, pomimo wszystko, nie do sojuszu faszyzmu z hitleryzmem należy przyszłość. *t. r.*

Z DNIA NA DZIEŃ

NOWY RODZAJ WOJNY

Już nikt zaprzeczyć nie może, że w hiszpańskiej wojnie domowej biorą udział Italia, Niemcy i Z.S.S.R.

Toczy się więc wojna międzynarodowa, o której można powiedzieć: wojna międzynarodowa w granicach możliwości przemytniczych.

Takiej wojny statut Ligi Narodów nie przewiduje. Jest to dla Ligi wojna, której niema.

Są lotnicy niemieccy, są oficerowie włoscy, jest amunicja sowiecka, pada dziesiątki tysięcy ofiar, miasta — w gruzach, rzeź straszliwa, ale wojny międzynarodowej oficjalnie niema...

„WŚRÓD NIEMIECKICH LOTNIKÓW W SALAMANCE"

W N-rze 304 *„Expressu Porannego"*, jawnie popierającego rebelię gen. Franca i Moli, ukazał się reportaż, pióra p. Jana Erdmana, specjalnego wysłannika tego pisma.

Rzeczy podane przez p. Erdmana są podwójnie zastanawiające: naprzód przez swoją autentyczność, która zgoła nie pozwala wątpić już, że całe lotnictwo buntowników faszystowskich jest pochodzenia włosko - niemieckiego i osobiście przez Niemców i Włochów obsługiwane; powtóre dlatego, że te wiadomości ukazuje się na łamach *„Expressu Porannego"*.

Bo też prosimy posłuchać, co pisze p. Erdman w swym reportażu: „Wędrując po Hiszpanii, tak się składało, że i w Salamance i w Caceres i w Talavera i w Sewilli mieszkałem z lotnikami cudzoziemskimi. Byli to Niemcy i Włosi, przy czym proporcja wzajemna ma się mniej więcej jak 4:1". „Samolotów i lotników hiszpańskich jest po stronie powstańczej stosunkowo bardzo niewiele, — po pierwsze dlatego, że wogóle siły lotnicze tego państwa nie przedstawiały się przed przewrotem zbyt imponująco, a po drugie — że lotnicy (w przeciwieństwie do wszystkich innych broni) opowiedzieli się w większości po stronie rządu madryckiego. Przewaga czerwonych w powietrzu nie trwała jednak długo; dziś już właśnie lotnictwo jest najsilniejszą bronią powstańców, właśnie tutaj przewaga białych jest najwyraźniejsza, najbardziej rzucająca się w oczy". I skąd się wzięła ta nagła zmiana na korzyść buntowników? Bo oto „bombowe *Junkersy* oraz pościgowe *Fieselery* są postrachem rządowych wojsk; *Savoje* mniej się rzucają na froncie w oczy". A jak gęsto opadła Hiszpanię ta skrzydlata hitlerowska szarańcza, dowiadujemy się znów z relacji p. Erdmana, który w zniecierpliwieniu powiada: „Czy pan jest lotnikiem niemieckim? jest najnatrętniejszym pytaniem, na jakie wypada dzisiaj odpowiedzieć cudzoziemcowi na ulicy, w kawiarni, w pociągu, na każdym kroku". A nasza pro-rebeliancka prasa wciąż się obrusza, gdy trzeba stwierdzić, że po stronie „patriotycznej" i „narodowej" armii gen. Franca walczą maurowie, międzynarodowe włóczęgi, hitlerowcy, faszyści i cały „zbrod" białogwardyjski z pod carskiego znaku!

„OBJEKTYWIZM" POLSKIEGO RADIA

Od pewnego czasu przed mikrofonem Polskiego Radia wygłasza odczyty o międzynarodowej sytuacji politycznej p. Witold Giełżyński. W odczycie z dn. 8 b. m. p. Giełżyński określił wojnę domową w Hiszpanii, jako walkę żywiołów „narodowo - zachowawczych" z „anarcho - komunistycznymi".

Nie dziwimy się, że kierownik warszawskiego oddziału „I.K.C." posługuje się fałszywą, endecką i faszystowską terminologią. Jest obecnie w zgodzie z sobą, a o całej swojej przeszłości ideowej już dość dawno zapomniał. Stwierdzamy tylko, że Polskie Radio — wbrew niejednokrotnym zapewnieniom — nie trzyma się zasad objektywizmu, a w tym wypadku dopuściło do pospolitej już demagogii.

OD ZACHWYTU DO WZGARDY

Czas pisze:

„Parlament dzisiejszy nie może być łącznikiem między społeczeństwem, a rządem. Po pierwsze dlatego, że reprezentuje tylko jeden odłam społeczny, a po drugie dla tej prostej przyczyny, że odłam ten jest niezorganizowany. Parlament ten nie jest również żadną klapą bezpieczeństwa, bo wszystkie naprawdę istotne konflikty społeczne, rozgrywają się poza nim. To też taki parlament pozbawiony jest wszelkiego politycznego znaczenia. Z punktu widzenia normalizacji stosunków politycznych, z punktu widzenia politycznego spokoju, jest rzeczą zupełnie obojętną, czy taki parlament obraduje, czy nie, czy istnieje czy też wogóle go nie ma".

Tak jest rzeczywiście. Trzeba jednak dodać, że *Czas* doszedł do takich konkluzyj dopiero teraz, kiedy pp. konserwatyści popadli w „niełaskę". Już im się nie podoba ani parlament, ani ordynacja wyborcza, którą tak byli zachwyceni, wówczas, kiedy wywierali — również poprzez parlament — pewien pływ na politykę rządu.

ZARZUT BARDZO POWAŻNY

W n-rze 303 wileńskiego *Słowa* z dn. 4 b. m. oświadcza p. Mackiewicz:

„Zarzucam prof. Strońskiemu, że w walce państw narodowych z bolszewizmem, popiera tę drugą stronę".

W obawie, by czytelnik nie pomyślał słusznie, że jest to zarzut głupi, redaktor *Słowa* dodaje w zdaniu następnym, że to „zarzut bardzo poważny"... Niewątpliwie wśród czytelników *Słowa* jest sporo takich, którzy pomyślą: patrzcie państwo, nawet taki Stroński przeszedł do bolszewików! Sam Mackiewicz o tem pisze. I przecież zapewnia, że mówi poważnie!

Może jednak znajdą się wśród czytelników *Słowa* i tacy, którzy spostrzegą, że w atakach polemicznych p. Mackiewicza jest coraz więcej idiotyzmów.

PRZYKŁAD FRANCUSKI

Wobec zapowiedzi premiera Bluma o nowych przepisach prasowych związki wydawców francuskich, a mianowicie związek wydawców prasy paryskiej, związek wydawców prasy regionalnej, związek prasy prawincjonalnej, związek wydawców prasy ideowej, związek wydawców tygodników, związek prasy periodycznej, związek prasy technicznej i związek dyrektorów prasy sportowej ogłosił następującą jednomyślnie uchwaloną rezolucję:

„Związek wydawców pism francuskich poinformowany z przemówień prezesa rady ministrów o zamiarach rządu, uważa za korzystne nowe zarządzenia, które mają na celu wzmocnienie niezawisłości prasy, przewidzianej w ustawach Republiki.

Uważamy, że takie zarządzenia winny być przeprowadzone bezstronnie i zmierzać do:

1) kontroli środków finansowych wszystkich dzienników bez wyjątków i wszystkich funduszów bez względu na ich pochodzenie,

2) zniesienia całkowitego wszystkich funduszów tajnych,

3) reformy ustawy z 1881 r. w dziedzinie dotyczącej szybkości wyniku sprawiedliwości i wzmocnienia kar za zniesławienie".

Sądzimy, że to oświadczenie wydawców francuskich jest bardzo aktualne i dla naszych stosunków. Zamiast grozić represjami, lepiej istotnie zrewidować źródła dochodów wydawnictw, a oszczerców karać, nie podciągając oczywiście pod oszczerstwo i zniesławienie krytyki istniejących stosunków politycznych.

NAPASTNICZA GŁUPOTA

Kto umie krytycznie i samodzielnie myśleć, nigdy nie mógł się spodziewać od *Ilustrowanego Kurjera Codziennego* przedmiotowego stosunku do zjawisk współczesnego życia. Pismo, obliczone na głupotę, niewyrobienie, naiwność lub łatwowierność ludzką musi mieć w pogardzie mozolne wypracowywanie swojej własnej prawdy o rzeczach.

O ileż łatwiej, a zwłaszcza pożyteczniej kierować się zmysłem kupieckim i posiłkując się górażn węchem chwytać to wszystko, co w słabych mózgach uchodzi za prawdę. Odpowiednio więc do każdego pozoru prawdy trzeba się ustosunkowywać i przybierać taką postawę zewnętrzną, którąby się nie kłóciła z dobrze pojętym interesem handlowym. Jeżeli np. chodzi o sławetny dziś „bolszewicki" 25 numer *„Płomyka"*, to I. K. C. szybko się spostrzegł, że można tu zarobić, występując patetycznie w roli obrońców obrażonej moralności publicznej, czystości duszy dziecka i prawomyślności obywatelskiej.

Któż spośród ludzi myślących nie odczuje niesmaku na widok *I. K. C.*, broniącego jakichś zasad lub idei? W przebiegu procesu, wszczętego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego przeciwko temu brukowcowi krakowskiemu, opadały stopniowo te idealne szaty i katońskie maski, odsłaniając oblicze, które wśród ludzi, niepozbawionych doszczętnie smaku moralnego musiały wzbudzić jaknajgłębszą odrazę.

Przy całej współczesnej kołowaciźnie pojęć nie można przecież w sposób jawnie oszukańczy uzurpować sobie uprawnień do pewnych ról i czynności publicznych. Dobre jest to, gdy nikt nie widzi i sprawdzić nie może. Dobre to jest, gdy *I. K. C.*, korzystając z ciemności nocnych chyłkiem wyniesie z garderoby teatralnej i przywdzieje togę prawości, iżby domagać się w tych czcigodnych szatach prawości od innych.

Ale gdy to czynić chce w biały dzień na oczach przytomnej Polski, to taka maskarada nabiera szczególnego wyrazu i znamion jawnej bezczelności.

Któż bowiem w Polsce nie wie, że zarazę deprawacji moralnej wśród dzieci i młodzieży szerzył właśnie koncern prasowy *I. K. C.*, wydając latami osławionego *„Tajnego detektywa"*. Ze względów społeczno - wychowawczych, a najbardziej powołany do oceny spustoszeń czynionych w duszy dziecka, domagał się położenia kresu zarazie i przerwania trucicielskiego wydawnictwa, nie kto inny, tylko Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Jakże więc organ, oskarżony publicznie o zabójcze oddziaływanie na psychikę dziecka, ma jakikolwiek tytuł moralny do sądzenia innych? Jakże pismo, mogące operować tylko przesłankami małemi w nędznej sferze sensacji, plotki, oszczerstwa może wznieść się na wyżyny wielkich zasad i idei, wymagających nie tylko trudu myśli, lecz także żarliwości i poświęcenia? Skądże *I. K. C.*, znajdujący się nadomiar pod pręgierzem opinii dwustu tysięcy pracowników umysłowych, powołany jest do ferowania wyroków na nauczycielstwo polskie, legitymujące się dwudziestoletnią twórczą pracą wychowawczą i umacnianiem wewnętrznej, duchowej niepodległości Polski!

Żyjemy dziś w okresie oszalałej mody na rozdawanie epitetów: komunista, komunizujący, awangardzista Sowietów. Szermuje się nimi na prawo i lewo: jedni celowo, świadomie, złośliwie, operując nimi, jak fałszywymi kartami, inni bezwiednie, nałogowo, pod działaniem sugestii i naśladownictwa.

Jest to zaraza duchowa, tworząca kołowaciznę pojęć, która doprowadziła już do tego, że fantazjujący głupcy piętnują nie tylko każdego demokratę znakiem komunisty, ale już najwięksi nawet reakcjoniści wzajemnie się stygmatyzują bolszewizmem. Dość powiedzieć, że prof. Stroński, który z całej kohorty niewiadomszczyzny i najczarniejszej reakcji najzjadliwiej żądlił wszystko, co było twórcze i wzniosłe na lewicy, dziś sam publicznie pomówiony został w druku przez drugiego rozsierdzonego reakcjonistę o sprzyjanie... bolszewizmowi.

Odwoływanie się do sądu przeciwko różnym „Ikacom" jest tylko jednym ze sposobów walki z prostactwem umysłowym i z uzurpacją brukowców do moralnego wyrokowania o cudzej wartości, zasługach i pracy. Ale metodyczną walkę z napastniczą głupotą, zubożającą treść naszego życia, trzeba dziś rozpocząć we wszystkich ośrodkach myśli i pracy społecznej.

PUSTKI W TEATRACH HITLEROWSKICH

Zarządy miast niemieckich ogłosiły sprawozdanie z frekwencji teatrów za sezon ubiegły oraz statystykę porównawczą. W roku 1934/35 wydatki teatrów pokryte były tylko w 29% przez wpływy ze sprzedaży biletów. Reszta budżetów teatralnych (71%) musiała być pokryta z subsydiów. Liczba zajętych miejsc na widowni sięgała przeciętnie 30 — 35% ogólnej ich liczby. W niektórych miastach frekwencja przeciętna wykazuje jeszcze niższe cyfry, w Düsseldorfie np. sięga ona zaledwie 22% miejsc na widowni, w Monachium — 24%,

»WICI« CZOŁOWA KOLUMNA RUCHU LUDOWEGO

Sprawa chłopska w Polsce stoi w ognisku najważniejszych naszych spraw zbiorowych. Poprzez troskę o stan obronny państwa, dla którego rekrut i rezerwista ze wsi stanowi podstawę armii, przez wysiłek ku wzmożeniu produkcji i rozszerzeniu zbytu, poprzez walkę z analfabetyzmem, ogarniającym wieś — wznosi się coraz to wyżej i rysuje społecznie coraz ostrzej sprawa chłopska.

Wzmaga się dokoła niej gorączkowy ruch. Związane z nią zagadnienia bieżące nie schodzą z łamów prasy. Na zgromadzeniach i manifestacjach w miastach wypływają w uchwalanych rezolucjach i programach poszczególne elementy tej sprawy. Coraz potężniej rozbrzmiewa hasło likwidacji majątków obszarniczych na rzecz chłopów, rozbudowy spółdzielczości na wsi, podniesienia stanu szkolnictwa wiejskiego. Pojawiają się reportaże ze wsi. Ukazują się dzieła poważne tak alarmujące, jak np. „Pamiętniki chłopów", „Przeludnienie wsi i rolnictwo", Józefa Poniatowskiego, oraz wiele innych sygnałów z tej niepokojącej dziedziny. Sprawa chłopska zalega na horyzoncie społecznym od krańca do krańca.

Nie ulega wątpliwości, iż pewne na czoło dotąd wysuwane zagadnienia państwowe usuwają się na plan dalszy, gdy tymczasem idea chłopska wysuwa się coraz to wyraźniej na plan czołowy. Wielka manifestacja chłopska w Nowosielcach była błyskawicą, która oświetliła istotną polską rzeczywistość i zapowiedziała zbliżającą się przemianę społeczną. Będzie to przemiana głęboka, wyniki zaś jej będą tym bardziej w dziejach Polski przełomowe, im więcej zapór stoi na drodze, po której przemiana iść musi.

Trzeba stwierdzić, że dotychczas, pomimo gorączkowego gwaru i chodzenia około sprawy chłopskiej, nic nie dzieje się takiego, co moglibyśmy uważać za pierwszy realny krok w kierunku rozwiązania najbardziej palących zagadnień... Wprost przeciwnie! Z dnia na dzień rosną wokoło wsi różnorakie tamy polityczno-gospodarcze i społeczne, które chłopi, aby móc żyć i działać, muszą przerwać i pokonać. Między miastem a wsią istnieje dotąd głęboki przedział niezrozumienia, wzajemnej niechęci i nieufności. Dążność elementów mieszczańskich do utrzymania swej hegemonii nad wsią wywołuje wrogi częstokroć napór wsi na środowiska miejskie. Uprzytomnijmy sobie właściwe podłoże tej sprawy. Oto ośrodki dyspozycyj wszelkich działań w stosunku do wsi i dla wsi nie tylko znajdują się w miastach, ale niemal wyłącznie w ręku ludzi z miasta, którzy podchodzą do spraw wsi z różnych stron, niestety, rzadko ze strony właściwej, to znaczy od strony samej wsi, jej dążeń i interesów. Załatwia się szereg spraw nieżyciowo i biurokratycznie, a zawsze arbitralnie i bezapelacyjnie. W tym miejscu przypomnę niedawny zjazd w sprawie powołania do życia „Instytutu Kultury Wsi", w którym to zjeździe uczestniczyli różni „spece", ale gdzie wieś właściwa, jej część samodzielna i terenowa, nie była reprezentowana. Debatuje się nad sprawą wsi, jak nad chorym czy też zapóźnionym w rozwoju osobnikiem, przy czym z reguły nie wysłuchuje się głosu prawdziwych przedstawicieli rzeszy chłopskiej.

Gdy do niedawna dziedzic i proboszcz uważali za swój wyłączny monopol „opiekę nad wsią i jej życiem", to dziś z rąk tych przejmuje czynności opiekuńcze, hamujące przeważnie samodzielne życie wsi, inteligencja miejska, ściślej biorąc biurokracja państwowa. Zjawisko to jest dziś zbyt powszechne, aby taki stan rzeczy podawać w wątpliwość. Dość jest być obecnym na jakimkolwiek zjeździe społeczno-gospodarczym o charakterze wiejskim, aby przekonać się, że w pracy tej nie biorą udziału chłopi i przedstawiciele wsi, że większość zgromadzonych to nominaci biurokracji i delegaci organizacyj zależnych od niej. Należy jeszcze zastanowić się, czy w postawie wobec sprawy chłopskiej nie ma również pewnych ukrytych wpływów o podłożu materialnym. Niewątpliwie wpływy takie istnieją. Wieś w obecnych stosunkach gospodarczych traci na korzyść miasta bardzo poważnie. Nożyce cen to właśnie przesunięcie się korzyści materialnych na rzecz środowisk miejskich z wyraźną stratą dla rzeszy chłopskiej. Niejednokrotnie też dadzą się ujawnić wpływy pewnych grup społecznych w mieście, które z pobudek materialnych pragną utrzymać istniejącą dziś i krzywdzącą nierówność, a tym samym zahamować rozwój gospodarczej i społecznej samodzielności rzeszy chłopskiej.

Poza tym istnieje jeszcze jeden powód, dla którego wieś bywa odsuwana od ośrodków dyspozycji. Jest to panujące dotąd przeświadczenie o niedojrzałości społeczno-politycznej masy chłopskiej, poparte argumentami minionej już przeszłości. Pewne czynniki dowodzą, że dopuszczenie przeważającej swą masą liczebną, a nieodpowiedzialnej politycznie rzeszy chłopskiej do decydującego wpływu w państwie, może w pewnych ważnych dla państwa momentach zaważyć ujemnie na biegu spraw państwowych, osłabić niezbędne w razie konfliktu centralne ośrodki dyspozycji. Niewątpliwie w obecnych czasach argument to ważki, czy jednak zgodny z rzeczywistością? Otóż istotny stan rzeczy jest zgoła inny i niebezpieczeństwo takie zupełnie nie istnieje.

Stan kultury oraz uświadomienia obywatelskiego i narodowego rzeszy chłopskiej wzrasta nieustannie od dwóch prawie dziesiątków lat naszego niepodległego bytu. Istnieje przy tym normalna życiowa ciągła wymiana pokoleń, wchodzenie w życie coraz to młodszych roczników niezużytych, aktywnych i łaknących aktywnego udziału w życiu zbiorowości. Z roku na rok zmienia się wewnętrzna wartość społeczna, polityczna i gospodarcza wsi. Może nawet ten znamienny proces pokoleń ma na wsi silniejsze tempo i ostrzejszy charakter, aniżeli w mieście. Wydaje się, iż właśnie na terenie wsi istnieją szczególne warunki, które tempo wymiennego procesu społecznego wzmacniają.

Dwa czynniki czynią życie chłopa istną tragedią: przeludnienie wsi i bezrobocie chłopskie. Oto na kilku — czy kilkunastomorgowym gospodarstwie żyje liczna chłopska rodzina. Pracy dla wszystkich w gospodarstwie tym nie ma; tylu rąk ten warsztat pracy zatrudnić nie może. Młode pokolenie chłopskie chce ruszyć w świat, dąży do stworzenia własnego warsztatu pracy i własnej nowej komórki rodzinnej. Wszędzie jednak natrafia na nieprzebytą zaporę ustroju społeczno-gospodarczego w swoim własnym kraju oraz szczególnych upośledzeń poza jego granicami. Nie może zatem emigrować z kraju; w miastach powstrzymuje go tama bezrobocia miejskiego; zarob-

ków pobocznych coraz mniej, bowiem wszystkie związki komunalne żyją dziś pod znakiem „zaciskania pasa", a robót publicznych na wielką skalę państwo nie prowadzi. Ta ziemia zaś, której poważny zapas jeszcze istnieje i przez intensywną parcelację mogłaby dać nowe warsztaty pracy młodszemu chłopskiemu pokoleniu, jest dziś czujnie i mocno strzeżona przez jej wielkich i wpływowych dzierżycieli.

Młody chłop jest spętany i przykuty do gniazda nędzy w swoim domu rodzinnym, w którym z dnia na dzień jest coraz to ciaśniej i... coraz głodniej. Zrozumiałą chyba jest rzeczą, że właśnie wśród młodszego pokolenia rośnie duch ofensywy przeciw temu wszystkiemu, co zagradza mu wyjście na świat i uniemożliwia osiągnięcie choćby najskromniejszego, ale samodzielnego bytu. Tu też znajduje się właściwe, sumiennie nie zaś demagogicznie ujmowane podłoże duchowe i społeczne nieszczęsnych zajść na terenie wsi od Krzeszowic i Wierzchosławic do Zamojszczyzny.

***

Nastręcza się nieodparte pytanie: czy inteligencja polska, która bezsprzecznie dzierżyła przez okres ostatnich lat dziesięciu wszelkie ośrodki polityczno-społecznej dyspozycji w kraju, zdołała choćby przygotować rozwiązanie sprawy chłopskiej? Czy zdołała wyjść na przeciw potężniejącym potrzebom wsi, ujętej w kleszcze straszliwego dramatu? Czyż nie wydaje się więc rzeczą prostą, słuszną i naturalną, aby podlegająca nieustannej pozytywnej przemianie wewnętrznej wieś chłopska, w której coraz bujniej wyrasta i dojrzewa młode pokolenie, jęła sama wreszcie decydować o swym życiu i przyszłości? Wszak jest to jej prawo. Przy tym niewątpliwie zyska nowe drogi rozwoju państwo i zyska je naród.

***

Od pierwszych dni odrodzonego bytu państwowego organizuje się młode pokolenie chłopskie w „Związku Młodzieży Wiejskiej", do roku 1928 jednolitym. W organizacji tej łączy się młodzież chłopska dla pracy wychowawczo-oświatowej. Dążenie do usamodzielnienia się rzeszy chłopskiej przenika całość prac związku młodzieżowego.

Wyzwalającemu się młodemu pokoleniu chłopskiemu przeciwstawia się oczywiście kler katolicki. Pod osobistym kierownictwem proboszczów i wikarych powstają po wsiach „Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej", osobno męskiej i żeńskiej. Praca w tych kołach ograniczała się do niedawna do praktyk dewocyjnych i poczynań pseudo-oświatowych. Walka pomiędzy tymi dwiema organizacjami wzmagała się z dnia na dzień, wciągała również w swoje wiry rodziców. Starsze pokolenie chłopskie wspierało niejednokrotnie praktyki dewocyjne, rzadziej wyciągało dłoń pomocną do niezależnych kół młodzieży chłopskiej. Taki stan rzeczy trwał do roku 1928-go. W tym roku następuje rozłam w „Związku Młodzieży Wiejskiej" na sanacyjny „Siew" (obecna nazwa „Związek Młodej Wsi") oraz na chłopskie niezależne „Wici". Od dnia rozłamu obie organizacje młodzieżowe dążą drogami odrębnymi. Sanacyjny „Siew" otrzymujący zasiłki rządowe i komunalne, zasobny w siły instruktorskie, pracuje niewątpliwie dodatnio nad podniesieniem kulturalno-oświatowym wsi, ale jednocześnie stając nieraz do dyspozycji politycznej regymu, hamuje istotną samodzielność ludu.

Inaczej dzieje się w „Wiciach". Tam bowiem, w walce na dwa fronty zewnętrzne, a więc z sanacyjnym „Siewem" i klerykalnym „Stowarzyszeniem Młodzieży Katolickiej", wreszcie w znojnym wysiłku tworzenia nowej samodzielnej myśli chłopskiej — wyrastają „wiciarze" na czołowych i niezłomnych bojowników polskiej wsi.

Nie przychodzi to im ani łatwo ani rychło. Rok 1930, rok Brześcia i wyborów sejmowych, przemija dla „wiciarzy" bez szczególnego oddźwięku. Pochłonięci tworzeniem „rdzennie chłopskiej myśli" nie łączą się z frontem starszego chłopskiego pokolenia. Dopiero w roku 1933 na walnym zjeździe podejmują trud ogarnięcia szerszego pola poza kręgiem zadań wychowawczo-oświatowych. Opracowują i ogłaszają „Deklarację społeczno-gospodarczą" w duchu wyraźnie antykapitalistycznym. Jest to moment kapitalnej wagi w życiu wsi: *zjawia się w nim po raz pierwszy samorodna twórcza myśl chłopska.* Opracowanie Deklaracji zostało dokonane początkowo przez krakowskie środowisko Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. Podłożem deklaracji stał się „agraryzm", nowy kierunek ustrojowy, zrodzony w młodej społeczności chłopskiej. Szermierzem nowej twórczej idei jest Stanisław Miłkowski, młody działacz ludowy, który ideę agraryzmu ujął w wydanej przez siebie pracy publicystycznej („Agraryzm, jako forma przebudowy ustroju społecznego" — 1934).

Ogłoszenie deklaracji ożywia i napełnia twórczą treścią cały ruch wiciowy. Niebawem życie samo wyprowadzi „Wici" na teren szerszy i bardziej odpowiedzialny, a zarazem spowoduje dalszy rozwój samodzielnej myśli chłopskiej.. Nadchodzą wybory do Sejmu w 1935 r. i przynoszą ze sobą głęboki ferment osobowo-organizacyjny w Stronnictwie Ludowym. Większość dotychczasowych posłów i senatorów Stronnictwa Ludowego odchodzi od ruchu ludowego w momencie, w którym ruch ten występuje do walki o swą pełną odrębność i samodzielność. W tym trudnym momencie śpieszą na front walki politycznej starsi „wiciarze", wspierając całą siłą swego zapału i energii starsze pokolenie chłopskie. Wynik wyborów powszechnie znany. Następstwa tych dni wyborczych okazały się rozległe.

Prawie bezpośrednio po okresie wyborczym następuje w tymże roku, w październiku, walny zjazd „Wici", na którym zostaje przepracowany i uchwalony całokształt nowej chłopskiej koncepcji ustrojowej społeczno-gospodarczej. „Wiciarze" przyjmują zdecydowany front antykapitalistyczny i antyfaszystowski. Wytyczne ideowe programu „Wici" oparte są na przeświadczeniu, iż Polska jest społecznym środowiskiem chłopsko-robotniczym, ludowym. *Świat pracy jest treścią życia polskiego,* to też nowy ustrój społeczno-gospodarczy opierać się będzie z jednej strony na socjaliźmie, z drugiej zaś strony na agraryźmie, jako chłopskiej koncepcji ustrojowej — „biegnącej równolegle do socjalizmu i stwarzającej pełny program społeczno-gospodarczy dla warstwy chłopskiej i robotniczej bez jakichkolwiek jednostronnych rozstrzygnięć. (St. Miłkowski — Walka o Nową Polskę — 1936)".

Po walnym zjeździe „Wici" następuje niebawem Kongres Stronnictwa Ludowego. Na kongresie tym uchwalono nowy program Stronnictwa Ludowego, oparty na koncepcji ustrojowej agraryzmu, a więc idei, zrodzonej w środowisku „wiciowym". „Wicia-

rze", biorący w kongresie udział w charakterze delegatów S. L., stoczyli walkę z „konserwą" chłopską o własną ideologię i nowy program odrodzonego Stronnictwa Ludowego. Nie zdołali może osiągnąć całkowitego zwycięstwa dla swych tez programowych, ale osiągnęli to najważniejsze, że samodzielna i twórcza myśl chłopska, oparta na agraryzmie, została uznana przez starsze pokolenie, jako fundament ideologiczny polskiego ruchu ludowego.

Życie pędzi dziś szybciej, niż może się wydawać. Ta rączość dzisiejszego życia nadaje ruchowi ludowemu szczególnie mocne tempo pracy. Rzesza chłopska zdała sobie sprawę z tego, iż musi w bardzo krótkim okresie czasu odrobić wieki zaniedbań, zerwać potężnym rozmachem pęta uzależnień i ograniczeń, wreszcie zorganizować wszestronnie masy chłopskie. „Wici" przodują dziś wsi w jej pracy twórczej i samodzielnej; obecnie na nowo i intensywnie podejmują gospodarczą organizację wsi. Starsze pokolenie chłopskie, idąc szczerze i z całkowitym zrozumieniem potrzeb chwili za ideą i programem „wiciarzy", zdobywa się na ofiarę prawdziwie godną szacunku i podziwu. To też front chłopski tężeje z dnia na dzień. W tych warunkach żadne stanowcze rozwiązanie całokształtu spraw ustrojowych społeczno-gospodarczych w Polsce nie jest dziś już możliwe bez ścisłej, rzetelnej i lojalnej współpracy z rzeszą chłopską, na której czele maszerują „wiciarze".

Wszyscy działacze społeczni, którzy uważają się za powołanych do współudziału w tworzeniu istotnych wartości państwowych i narodowych, muszą zdać sobie sprawę z tego, że minął czas, gdy bez wsi i poza nią zapadały w Polsce wielkie i brzemienne w następstwa decyzje. Przeświadczenie, że wiele z tych decyzyj uprzednich nie wytrzymuje już dziś próby życia, niech będzie ostrzeżeniem, iż właściwa droga do potęgi państwa i odrodzenia społeczno-gospodarczego kraju idzie w Polsce tylko — przez wieś. Ale przez wieś całkowicie samodzielną. Każdy zaś, kto potrafi głęboko ująć zagadnienie naszej przyszłości, zrozumie, iż zdobycze niezależnego i twórczego ruchu ludowego stanowią najpewniejszą rękojmię niepodległego bytu naszego państwa: siłę motorową jego rozwoju i tarczę jego samoobrony.

Jan Rola.

U ŹRÓDEŁ NARODOWEJ POTĘGI

Stanowczy i bezkompromisowy sąd o zjawiskach społecznych czy politycznych, tamujących niby barykady — rozwój naszego narodu i jego potęgi, jest obowiązkiem publicysty. Musimy przeprowadzić najostrzejszą choćby analizę zabagnionych stosunków społecznych, skoro bywają one źródłem ciężkich i krwawych konfliktów. Tak samo, jak musi się piętnować warunki i atmosferę, która sprawiała, że stanowiska sędziowskie mogła obsadzać taka Parylewiczowa lub też — że o kilkoletniej działalności jednego z urzędów skarbowych decydował taki Krzystoporski. Ale trzeba przyznać, że ten obowiązek publicysty jest bolesny, bowiem wymaga ustawicznego badania najbardziej ujemnych zjawisk i najobrzydliwszych spraw.

Pewien gatunek prasy, jak np. „Ilustrowany Kurier Codzienny", podejmuje takie tematy nietylko z łatwością, ale i lubuje się w nich, dodaje złym, smutnym wynaturzeniom życia zbiorowego w Polsce posmaku makabrycznej sensacji i szermuje krzywdzącymi uogólnieniami. Nie jest rzeczą możliwą dla normalnej natury ludzkiej i normalnego umysłu ciągłe grążenie się w negacji, pławienie się w paskudztwach i wyczynach różnych kreatur, w rozbabrywaniu ran i bolączek życia zbiorowego.

Działalność moja inspektorska, literacka, i publicystyczna zwalnia mnie chyba od zarzutu, jakobym chciała tuszować bolączki społeczne. Ale jestem za tem, żeby poddając ostrej, bezkompromisowej krytyce wszystko ujemne, wadliwe lub zbrodnicze, co się dzieje w życiu zbiorowem Polski zwracać jednocześnie wzrok i umysł w kierunku głębokich źródeł otuchy, źródeł istotnej przyszłej potęgi i pięknego rozwoju naszego narodu i państwa.

Kilkaset, kilka tysięcy nawet jednostek najgorszych, jak Krzystoporski i jemu podobni, nie reprezentują narodu polskiego, tylko jakąś wstrętną na nim narośl. Naród nasz nietylko nie jest narodem łapowników, hochsztaplerów, defraudantów i prowokatorów różnego kalibru. Naród nasz jest narodem wybitnie zdolnym, pełnym niepospolitej tężyzny moralnej, siły odporności, rzutkości umysłu, szerokości horyzontów. Ażeby to stwierdzić, nie zwracam się wcale ku naszej przeszłości, w której przecież, wśród aż nazbyt wielu ciemnych stron i złowrogich na przyszłość ostrzeżeń, są niezapomniane karty piękna, bohaterstwa, tolerancji, wspaniałego polotu myśli. Nie przeszłością, lecz teraźniejszością i rzutem w jaśniejszą przyszłość winien żyć naród. I właśnie w teraźniejszości dostrzegam niezgłębione źródła otuchy. Widzę je w kompleksie psychicznych cech i wartości, jakie posiadają szerokie warstwy polskie, polski robotnik, polski chłop.

Dość rozczytać się uważnie w takich dokumentach jak „Pamiętniki bezrobotnych" i „Pamiętniki chłopów", a obecnie napływające do Instytutu Gospodarstwa Społecznego pamiętniki emigrantów, żeby naprawdę zaczerpnąć najgłębszej otuchy najlepszej wiary w dobrą, jasną przyszłość narodu i państwa polskiego. Nie wiem, czy społeczeństwo nasze — a już choćby inteligencja — docenia należycie epokową wprost wartość tego wkładu do polskiej kultury, jakim są te gromadzone i wydawane przez Instytut Gospodarstwa Społecznego materiały. Obawiam się, że rozmiary i cena tych wydawnictw, a następnie — nasze polskie inteligenckie lenistwo umysłowe zamykają szerszy dostęp do tych książek. W przedmowach do „Pamiętników bezrobotnych" i do „Pamiętników chłopów" profesor Ludwik Krzywicki i pani Maria Dąbrowska podnosili bogactwo dusz, umysłów i charakterów, wyłaniające się z kart zapisanych nieporadną ręką autorów. Naprawdę podziwiać można te niepospolite zdolności ludu polskiego, sprawiające, że dzieci naszych chłopów po najkrótszym czasie zajmują zazwyczaj pierwsze miejsca w szko-

le francuskiej i niemieckiej, widać tu poprostu fanatyczne dążenie i zamiłowanie do oświaty, dążenie nie cofające się przed *największym* nakładem wysiłku , następnie — wielka zaradność, odporność samodzielność myśli, obserwacji, wniosków. Przytem — niesłychane napięcie patriotyzmu, miłości do kraju, do którego ma się często tyle żalu, pretensyj, urazy. Nic nie jest jednak w stanie osłabić tej miłości.

Tu nadzieja, tu jutro Polski. A tymczasem — jak bardzo niedoceniany jest u nas ciężar gatunkowy tych warstw narodu dla przyszłości. Z wyjątkiem pierwszych lat Niepodległości, następnie krótkiego okresu 1926 — 1928, w którym rozbudowywaliśmy dalej podwaliny ustawodawstwa społecznego, mało znajdziemy wyrazów istotnego zrozumienia wartości tych źródeł potęgi narodu i państwa. Najkapitalniejsze zagadnienie współczesności — praca ludzka — jest u nas wciąż traktowane po macoszemu. Zagadnienia wsi — roli chłopa — bywają już poruszane z troską i ze zrozumieniem wagi gatunkowej chłopa w organizacji przyszłego życia w Polsce. Dał temu wyraz i Józef Poniatowski w swej pracy, Władysław Grabski w swej Idei Polski i oczywiście, pisarze ludowi — Stanisław Miłkowski, Zdzisław Maćkowski, Władysław Kowalski i inni, ale olbrzymia, przeważająca część inteligencji nietylko nie docenia zagadnienia wsi, ale i nic o niczem nie wie. Nie wyodrębniam w tym artykule zagadnień chłopskich specjalnie, tylko stwierdzam: jest to kwestja stosunku do istotnych wartości najszerszych warstw narodu polskiego.

Halina Krahelska.

Z PAMIĘTNIKA IGNACEGO DASZYŃSKIEGO

W poniedziałek 11 listopada zawiadomił mnie pułk. Śmigły, że ma połączenie telefonicznie z Piłsudskim w Warszawie, który mówił z nim z pałacu Kronenberga! Poleciłem w tej chwili połączyć się z pałacem Kronenberga i rzeczywiście usłyszałem w telefonie głos Piłsudskiego, chociaż wydał mi się osłabionym i zmęczonym. Zapowiedziałem na wieczór mój przyjazd do Warszawy. Serce przepełniała radość z powodu uwolnienia Komendanta i nadzieja, że teraz może zjednoczyć się cała Polska.

Popołudniu, ustanowiwszy moim zastępcą ob. Thugutta, pomknąłem ze Śmigłym autem na Dęblin do Warszawy. W okupacji pruskiej ciemnym wieczorem co chwila zatrzymywały posterunki P.O.W. nasz samochód, a dowiedziawszy się, że jedzie lubelski minister spraw wojskowych Śmigły, meldowały z dumą o rozbrojeniu pruskich żołnierzy. Był to steoretypowy meldunek od Dęblina do Warszawy.

Koło godziny 10 wieczorem mogłem wreszcie powitać Piłsudskiego i jego szefa sztabu. Piłsudski miał żółtą, niezdrową cerę twarzy, wskutek szesnastu miesięcy więzienia w Magdeburgu. Był mocno zdenerwowany i bardzo zmęczony. Po długich rozmowach zdecydował, że powierza mi utworzenie gabinetu. Miał wówczas faktyczną władzę i był rzeczywistym Naczelnikiem Państwa, bo nietylko Regencja mu ją oddała, ale naród cały ją bez protestu uznał.

Urzeczywistniły się nasze marzenia; ukoiły się nasze tęsknoty; nie nadarmo lała się krew polska, nie bez skutku pracowaliśmy dla zdobycia wolności i niepodległości Polski! Oto miałem tworzyć pierwszy prawowity rząd polski, mający rządzić w całej już Polsce, bo chociaż zabór pruski był jeszcze w niewoli, pewnem już było, że do Polski wróci i całość z nią utworzy! Najprostszą było rzeczą dążyć do utworzenia rządu koalicyjnego. Ale położenie masy polskiej było w listopadzie 1918 r. takie, że nie można było o czemś podobnem zamarzyć. Dokoła Polski panowała zwycięska rewolucja. Rosja i Ukraina miały już od roku rząd bolszewicki, w Niemczech doszli do władzy najskrajniejsi socjaliści lewicowi (wraz z prawicowymi), na Węgrzech gotowali się do objęcia rządów komuniści. Polskie klasy posiadające skostniały w „pasywizmie"; chłopi, robotnicy i patriotyczna inteligencja znajdowali się w stanie silnego podniecenia rewolucyjnego. Objęcie rządów przez kapitalistów miejskich czy wiejskich wywołałoby tak silne fermenty w masach, że rozumiały to nawet konserwatywne społeczne sfery w Królestwie i Galicji i nie szły do rządu. Wojna z Ukraińcami i grożące bliskie konflikty z Rosją i z Czechami wymagały znów ofiar krwi masy ludowej. Burżuazja zaś nie dawała Polsce ani krwi, ani pieniędzy, lecz czekała tylko na chwilę, gdy przy pomocy Koalicji obejmie sama władzę! Wszak minister francuski p. Pichon uznał paryski „Komitet Narodowy" za polski „rząd prawidłowy" (gouvernement régulier), a p. St. Grabski przyjechawszy z Paryża do Warszawy, kazał wywiesić na swoim hotelu francuski(!) sztandar!... Nie uznawał bowiem żadnego rządu polskiego i traktował swój kraj jako pozostający pod protektoratem francuskim. A może czynił to dla bezpieczeństwa swojej osoby?

W listopadzie koalicyjny rząd był w Polsce niemożliwym. Piłsudski pragnął tego rządu, lecz i on liczył się z przeszkodami i zdecydował się na rząd ludowy. Oczywiście, że przyszła forma państwa i cały jego układ wewnętrzny zależały od tego, kto stanie na czele narodu, jako rząd i w jakim kierunku pewne zasadnicze rzeczy skieruje. Polska potrzebowała i potrzebuje silnej, zdecydowanej demokracji, jeżeli ma się oprzeć parciu sąsiada wschodniego. Monarchia w Polsce runęłaby jak domek z kart pod wpływem silnego prądu wschodniego... W przełomowej chwili nie można było mieć pod tym względem żadnych wahań. Musiałem zatem zacząć pracę nad utworzeniem rządu skrajnie demokratycznego. Nie myślę tutaj opowiadać szczegółów. Pracując po 20 godzin na dobę (portier hotelu Brühlowskiego ręce załamywał nademną, gdym wracał do domu o 5 nad ranem), starałem się stworzyć listę członków gabinetu. Rozumiałem, że mam do dyspozycji tylko kilka dni, bo przeciąganie się takich krytycznych momentów — tak ulubione potem w Polsce — kryło w sobie groźne niebezpieczeństwo. Przeprowadzałem dziesiątki rozmów z mężami zaufania licznych stronnictw i wysłuchiwałem niezliczonych projektów tego, coby trzeba najpierw zrobić. Warszawa narodowo-demokratyczna sama do rządu się nie ustosun-

kowała, lecz myślała o tem, jakby demonstrację uczuć patriotycznych ludności skierować przeciwko rządowi. Demonstracja masowa urządzona dla uczczenia licznej delegacji poznańskiej, bawiącej z p. Korfantym na czele w Warszawie, miała ostrze wrogie dla rządu. A Lwów, ciągle jeszcze nie wyswobodzony, służył jako niezawodny jątrzący środek agitacji przeciw rządowi i Piłsudskiemu. Panu Wojciechowi Korfantemu wyprzęgano konie, okla skiwano go i codzień honorowano w hotelu Europejskim. Co dnia młodzież patriotyczna szła pod balkon p. Korfantego w hotelu, poczem wracała koło pałacu Kronenberga, gdzie pracowałem i zatrzymawszy się pod memi oknami krzyczała: Precz z Daszyńskim! Na szubienicę! — Zachodziłem w głowę, dlaczego ci tak liczni młodzi ludzie nie wdarli się do pałacu, gdzie całą „załogą" był czasami czternastoletni chłopak w garderobie?...

Pewnego wieczora poszła ta gromada, wyprzęgająca w dzień konie p. Korfantemu, na ulicę Mokotowską 50, gdzie mieszkał na drugim piętrze Piłsudski, zaziębiony i gorączkujący, i wrzeszczała o odsiecz dla Lwowa, chociaż tam pod Lwowem była już niemal cała armia polska!...

Rozważałem myśl otoczenia kilku takich krzykliwych zgromadzeń i kup swawolnych, odłączenia kobiet i wyrostków, a ubrania w mundury i powiezienia pod Lwów mężczyzn, zrywających sobie tylko gardła w Warszawie... Ale jakoś do tego nie doszło, niestety..

Miałem poważniejsze troski, jak dojść do kompromisu z delegacją poznańską, która wzięła na siebie sprawę całej narodowej demokracji polskiej. Złożyłem jej wizytę w hotelu Europejskim i zaprosiłem do siebie dla porozumienia się. Rozpoczęły się długie, bezowocne, niestety, rozmowy z rodakami z pod pruskiego zaboru, którzy chcieli wywrzeć decydujący wpływ na rząd w Warszawie, sami doń nie wstępując, bo zabór pruski był jeszcze częścią państwa pruskiego i oni tę zależność swoją publicznie respektowali aż do końca grudnia 1918 roku.

Dyskusje te pozostawiły w mej duszy smutne wrażenie. Pierwsze zetknięcie się nasze z przedstawicielami zaboru pruskiego nie doprowadziło do zgody i doprowadzić nie mogło. Poznańczycy liczyli tylko i wyłącznie na Koalicję, na przybycie jej wojsk do Polski i na rząd pod jej skrzydłami wyłoniony. Nie podzielałem tych nadziei, nie chciałem żadnego rządu, mianowanego przez Koalicję, a co do wojska, to właśnie wystosował Piłsudski do marszałka Focha i Wilsona depeszę, domagającą się powrotu żołnierzy polskich do Ojczyzny.

W tym to czasie zaczęła się wędrówka kroci tysięcy Niemców z „Ober-Ost" przez skrawek Polski do domu. Ruch ten odbył się bez żadnej szkody dla kraju. Po pięciu dniach pracy mogłem Naczelnikowi Państwa przedstawić listę gabinetu, którego premierem miał być Andrzej Moraczewski. Skład gabinetu był następujący: Moraczewski — premier, Thugutt — sprawy wewnętrzne, Leon Wasilewski— sprawy zagraniczne, Ksawery Prauss — oświata, Leon Supiński — sprawiedliwość, Franciszek Wojda — rolnictwo, Antoni Minkiewicz — aprowizacja, Bronisław Ziemięcki — praca i opieka społeczna, M. Downarowicz — kultura i sztuka, Arciszewski — poczty i telegraf, Jerzy Iwanowski — przemysł i handel, nadto pp. Witos, Nocznicki i M. Malinowski — jako ministrowie bez teki. Skarbem zawiadował p. Władysław Byrka — jako kierownik. Trzy miejsca w rządzie miały być oficjalnie zastrzeżone dla przedstawicieli zaboru pruskiego. Ministrem spraw wojskowych miał być naczelny wódz Józef Piłsudski.

Skład tego gabinetu wymaga kilku komentarzy. Oto pp. Witos i Wojda nie zjawili się, aby objąć swoje obowiązki. Stara skłonność p. Witosa ku narodowej demokracji doprowadzała go do roli tak dwuznacznej, że bez narodowej demokracji tracił wprost orientację w sprawach publicznych. P. Byrkę zaś z wielkim tylko trudem zdołałem skłonić do objęcia kierownictwa Skarbu. Kierownictwo ministerstwa spraw wojskowych objął potem p. Wroczyński, ale za niego nie ponosiłem już odpowiedzialności.

Na 16 członków gabinetu było 6 socjalistów, 4 ludowców, 4 przedstawicieli stronnictw inteligenckich, 2 kierowników apolitycznych. Z pośród tych ministrów „Tymczasowego Rządu Ludowego" sześciu było później ministrami w innych rządach. Pp. Witos, Moraczewski, Iwanowski, Minkiewicz, Ziemięcki i Thugutt nieraz jeszcze służyć będą Polsce na najwyższych stanowiskach.

Koło 3 godziny w nocy wszystko było gotowe. Piłsudski podpisał przyjęcie mojej dymisji, nominację Moraczewskiego i skład nowego rządu. Nadto wystosował do mnie pismo osobne ,dziękując mi za pracę około zbliżenia i „przejęcia wzajemnem zaufaniem rozdzielonych dotąd synów jednej Ojczyzny". Gdyby to zbliżenie doszło było do skutku, wówczas on byłby mógł podjąć się roli prezydenta ministrów. Naczelnik Państwa dziękuje mi dalej, że nie wahałem się poświęcić „swojej osoby dla dobra sprawy".

Około 4 godziny mogłem odwieźć tow. Moraczewskiego w samochodzie do domu, i ucałowawszy go serdecznie, życzyć mu powodzenia w ciężkiej pracy, która go czekała, sam zaś pośpieszyłem do pałacu Kronenberga, gdzie mnie oczekiwali niczego nie podejrzewający przyjaciele. Gdy im oznajmiłem nowinę o składzie rządu, powstały głośne protesty i zarzuty, dlaczego zrzekłem się premierostwa. Ale byłem już tak mordeczo zmęczonym, że nie miałem zamiaru tej dyskusji prowadzić. Pożegnałem zatem liczne towarzystwo i o 6 godzinie rano zasnąłem w hotelu, nie każąc się wcale budzić. O jakże rozkosznym był ten bezterminowy spoczynek, którego nie zaznałem od 6 aż do 19 listopada! Jakże rozkoszną była przechadzka bez celu po Warszawie, jakąż swobodę odczuwałem wreszcie po tylu miesiącach i latach niedoli wojennej! Spełniły się sny młodości: po latach męki wojennej, cierpień, walk, błędów i pracy, zajadłej, zapamiętałej pracy, po tylu przejściach, po tylu upadkach nadziei, wyłaniało się oto niepodległe państwo polskie z krwawego odmętu dziejów. Uczucia, które rozpierały pierś moją w tym pierwszym dniu swobody, porównać mogę tylko z temi, które odczuwałem w gorących dniach lata 1914 roku, w początku wojny. Nie każde pokolenie może być dumne z przeżycia takich dni epokowych.

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

PERFUMY I KREW

Nowy, piętnasty tom felietonów teatralnych Boya-Żeleńskiego*) — jak wszystkie poprzednie — niesie lekturę wspaniałą, która łączy wysoki polot myśli z poezją, humor z zadumą, żart nieporównany z analizą najbardziej rzeczową.

To coś więcej, niż „recenzje teatralne". W sztuce teatralnej, dramacie, komedii czy farsie, czasem w jakiejś jednej scenie Boy znajduje świetny pretekst do własnych refleksyj na temat najżywotniejszych zagadnień naszych czasów i rzuca prawdziwy snop światła na sprawy i konflikty społeczne, polityczne, obyczajowe.

Cóż to za tytan pracy! Ledwie wydał piętnasty tom felietonów teatralnych, już ukazują się tomy olśniewającego przekładu Prousta, a lada dzień otrzymamy monografię o Sobieskim. Poza sobą zaś ma już 113 tomów przekładów i 41 tomów rzeczy oryginalnych! Tom pierwszy (poezje) ukazał się w roku 1907-ym. A więc — 6—7 tomów rocznie! I przy tak olbrzymiej wydajności — zawsze na świetnym poziomie, zawsze „w formie" doskonałej. Ktoś powiedział, że młodość zdobywa się z wiekiem. Do żadnego z pisarzy naszych słowa te nie stosują się tak dobrze, jak do Boya.

J. W.

NA TROPACH SMĘTKA

W przedmowie do swej nowej książki*) pisze Melchior Wańkowicz: „Aczkolwiek, poświęcając główną uwagę Mazurom, mogłem o sprawach ogólnych pisać tylko ubocznie — czytelnik i tak z całą jasnością zobaczy, że w Niemczech jest w chwili obecnej prowadzona, zwłaszcza przez pewne organizacje, wyraźna antypolska, rewizjonistyczna propaganda, najwyraźniej tolerowana przez władze. Propaganda ta pozostaje w sprzeczności z oświadczeniami czynników naczelnych. Nie widzieć tego mogliby tylko Polacy, gdyby poprzestawali jedynie na czytaniu prasy i słuchaniu radia".

Wańkowicz udał się „w teren" i najgruntowniej zbadał sprawę 350.000 ludności polskiej w Prusach Wschodnich. Niezwykły to reportaż: nieporównane opisy, świetna charakterystyka Mazurów, przebogaty materiał obyczajowy, mapy, wykresy, dane statystyczne, a wszystko podane w sposób wysoce sugestywny, barwny, interesujący. Książka zawiera 19 map, planów i wykresów, 40 rysunków, 172 fotografie.

Szata zewnętrzna tej arcyciekawej ksiażki — przepiękna. *W.*

ŻYCIE JAKICH WIELE

Godna uwagi, niebylejaka książka: Heleny Maty „Życie jakich wiele".**) W podtytule — wyraz „powieść". Zgoda na takie określenie autobiografii: życie każdego człowieka, wiernie odtworzone, jest jak powieść. Ma swoją „fabułę", tło psychologiczne, tło społeczne. Ma gesty tragiczne i komiczne, ma pointy „literacko" doskonałe.

Pamiętnik Heleny Maty od pierwszej do ostatniej stronicy — budzi zaufanie. Jest prawdziwy, niczym nie zafałszowany. Prostota słowa sprawia to, że całe dzieje Heleny Maty stają się nam bliskie. Wierzymy jej i współczujemy.

Wspomnienia te obejmują lata walki o niepodległość i zetknięcia się z szeregiem znakomitych postaci, jak Józef Piłsudski, Bolesław Limanowski, Stefan Żeromski, Edward Abramowski, Jan Kasprowicz. Dużo tu rzeczy ciekawych, dużo dokumentów wysoce interesujących.

Czytając książkę Heleny Maty, stwierdzamy po każdym rozdziale: prawdziwe życie, prawdziwi ludzie i — prawdziwa matka. *W.*

»ŻYTO W DŻUNGLI«

Od pierwszych stronic nowej książki Zbigniewa Uniłowskiego*) ulegamy sugestii, że już z chwilą ruszenia pociągu Uniłowskiego ogarnia nostalgia za krajem. I dlatego właśnie każda odrębność klimatyczna, czy to pejzażowa, czy obyczajowa, drażni autora. Uniłowski podlega wyjątkowo częstym zmianom nastrojów. Łatwo poddaje się apatii nudy, to znów szybko popada w stan krańcowo przeciwny. I właśnie przez tę dokładną autoanalizę swoich własnych odczuwań, przeżyć i nastrojów zatraca się właściwa i przewodnia myśl książki. Pełnego i jasnego obrazu Brazylii nie mamy. Natomiast niektóre fragmenty, odtwarzane w momentach napiętego zainteresowania, są żywe, plastyczne.

Uniłowski najwięcej poświęca miejsca obszernym opisom życia polskich kolonistów w Brazylii. Obraz polskich kolonij na terenie tego kraju jest najistotniejszym tematem „Żyta w dżungli". Kolonie polskie w Brazylii posiadają bardzo wyraźny podział stanowy i klasowy. Inteligencję reprezentuje nauczycielstwo i różnego rodzaju misjonarze. Nauczyciele w większości wypadków zaledwie umieją czytać, przytem nie posiadają żadnych zdolności pedagogicznych związanych z ich zawodem.

Pomiędzy chłopstwem a klerem jest wyraźny i ostry antagonizm. Rola kleru wśród kolonistów polskich ogranicza się do interesu zarobkowego. Polskich chłopów-kolonistów obdarza Uniłowski szczerą, głęboką sympatią. W Brazylii, chłop nie dziedziczy skrawka ziemi po ojcu do podziału z licznym rodzeństwem. Z własnej pracy - mordęgi dorabia się większych obszarów i dobytku. Widzi, że jego dobrobyt i egzystencja to tylko i wyłącznie własny trud i siła. Wyzbywa się przeto uniżoności, ceni swą pracę, staje się odporny na klerykalne tumanienie, odczuwa wyraźną solidarność z tymi kolonistami-chłopami, którzy taką twardą pracą, jak i on, zdobywają sobie byt.

Trochę migawkowo, jak na ekranie, ukazuje nam Uniłowski Indian, Japończyków, Portugalczyków i Włochów. Poczucie śmieszności i humor w przyjemny sposób ożywiają „Żyto w dżungli".

Galina.

*) *Tadeusz Żeleński (Boy):* Perfumy i krew. Wrażenia teatralne. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1936.

*) *Melchior Wańkowicz:* Na tropach Smętka. Wydawnictwo „Biblioteka Polska". Warszawa 1936.

**) *Helena Maty:* Życie jakich wiele. 2 tomy. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

*) Zbigniew Uniłowski. Żyto w dżungli. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1936.

TRAGICZNA MIŁOŚĆ

— A taki wszystko jedno nie daruję, a ja tiebie i tak śmierć zrobię! Tak ja jej i mówię. A ona na to już nic nie gadała, i siebie poszła i już jej moje oczy nie widali — mówiła z białoruska Janowa, która od paru lat w Popręgach mieszkając, już się poduczyła uczonej miejskiej mowy i bardzo wstydziła się każdego błędu. Ale teraz podniecona i zgorączkowana, opowiadając o rywalce, nie uważała na słowa i pragnęła tylko wylać tryumf przepełniający jej serce. Zwycięstwo! głosiły jej zapadłe oczy, otoczone siecią zmarszczek. Zgnębiłam — wyrażały rozdymające się chrapy chudego, niegdyś pięknego, nosa. Pobita! — radowały się uśmieszki latające dookoła ust wąskich i zwiędłych. Największy z tryumfów kobiecych: podbój kochanego mężczyzny, odmładzał twarz i postać tej pięćdziesięcioletniej kobiety, zniszczonej jak wszystkie kobiety z ludu, a przy tym schorowanej, wyschniętej i sinemi cieniami na twarzy świadczącej o poważnej niedomodze serca.

Przed kilkoma laty pojawił się w Popręgach najpierw Jan. Przywędrował pieszo z bracławskiego powiatu, z serca Białorusi, z siekierą na ramieniu, w poszukiwaniu pracy. Powiodło mu się wybornie. Zdrowy, silny chłop, życzliwie na świat patrzący, przy tym zdolny rzemieślnik, zdobył sobie sympatie, znalazł roboty „ile chcąc", obsprawił się, wymył, pojaśniał na twarzy, wreszcie sprowadził sobie dwunastoletnią córkę, która go opierała i obrządzała, a zarobki posyłał rodzinie na Kresy. Po roku czy po dwóch znalazł sobie kochankę, służącą w pobliskim domu, wyszczekaną i wygadaną, w sukni ze sztucznego jedwabiu i pantoflach na wysokich obcasach, młodą, bardzo reprezentacyjną, taką co to z nią przyjemnie i przed ludźmi się pokazać i w łóżku się przespać. Jednakże po trzech latach, kiedy powodziło mu się coraz lepiej, kiedy dostał porządne mieszkanie, jako dozorca jednej z willi, a roboty dniówkowej miał zawsze wbród, sprowadził z kresów resztę rodziny.

Czy zrobił to z przywiązania do dzieci, jak powiadał; czy przez oszczędność, żeby nie prowadzić dwóch domów; czy przez jakiś inny niewyrozumowany impuls, nie wiem napewno. Jednak z pewnością nie zrobił tego z miłości dla żony. I nikt mu się nie dziwił.

Przyjechała z kilkorgiem dzieci, brudna i obdarta, wystraszona i nie umiejąca porozumieć się z nikim, z jedną poduszką i jednym glinianym garnkiem, nie jak gospodyni, ale jak proszalna baba, według wyrażenia samego Jana. Weszła do swego pięknego apartamentu, składającego się z dużego pokoju i kuchni, i usiadła bezradnie, nie wiedząc o co ręce zaczepić, nie umiejąc ani ruszać się, ani żyć w tym nowym dla niej świecie.

Od tego dnia Janowa zaczęła być zgrozą i pośmiewiskiem wszystkich. Dzieci jej chodziły zawsze obdarte i brudne, mieszkanie nie było nigdy sprzątnięte, jedzenie gotowała raz na parę dni i podawała je zazwyczaj zimne. Jan biadał, narzekał, rozpaczał: „Czy to żona dla mnie?" pytał dokoła i wszyscy musieli przyznać, że istotnie żoną dla niego odpowiednią nie była. Miała zwyczaj oszczędzać wodę: tydzień stało czarne błoto na misce, w której się myła cała rodzina, prać nie lubiła, podłogi nie zamiatała. Ale nie tego wszystkiego wstydził się Jan najbardziej. Najgorsze było, że po tutejszemu mówić nie umiała, ani sią z nią pokazać w „restauracji" przy plancie, ani nawet pójść do kościoła. Aby uniknąć tego wstydu przestał wogóle wracać do domu, albo przychodził późnym wieczorem po ciemku. Dla reprezentacji i dla własnej uciechy zachował dawną kochankę. Na dom łożył, ale tylko tyle ile było konieczne.

Janowa snuła się całemi dniami bezradnie koło domu i po ulicy, otulona chustką, z której, jak ze ścisłej ramy wyłaniał się jej kameowy profil subtelny i wychudły. Kiecka o nierównym brzegu tłukła się jej po nogach, obutych w przydeptane, rozchlapane kapcie. Była obojętna na wszystko, obojętnością, która burzyła sąsiadów. Dzieci nigdy nie zawołała na obiad. Raz tylko wybuchła rozpaczą, gdy po dłuższej higienicznej prelekcji skierowanej do Jana, gospodyni domu kazała stanowczo ściąć kołtun z głowy siedmioletniej Marysi, i porządnie wymyć jej głowę, biorąc na siebie zgubne konsekwencje tego czynu. Jan odszedł kręcąc głową i zabrał się do operacji, ale Janowa eksplodowała długim lamentem, rozpaczą, wściekłością, dostała ataku histerii, a wreszcie i ataku serca. Patrzała potem z jeszcze większem otępieniem na dziecko, które bez szwanku przeszło straszliwy zabieg i straciwszy do reszty wiarę w siebie, wogóle przestała się czemkolwiek zajmować.

Od czasu do czasu tylko dostawała owych ataków, czy że była istotnie chora, czy że, z celnością właściwą wszystkim kobietom, dostrzegła potęgę, która się kryła w chorobie. Dzieci wtedy beczały po kątach spłoszone, ale siedziały kamieniem w mieszkaniu. Państwo dawali różne lekarstwa, a najważniejsze, że mąż przylatywał z roboty i trzymał za rękę. Cała słodycz bezbolesnego umierania, roztkliwienie nad samą sobę, szantaż uczuciowy w stosunku do bliskich, rozwiązanie wszystkich kompleksów niższości wobec swego chwilowego znaczenia, wszystko to przejmowało serce Janowej jedynem zaspokojeniem. Zawodzącym głosem lamentowała nad sobą, wiła się i wyprężała, dusiła i krztusiła i to była jej jedyna radość na tej obcej ziemi, wśród niezrozumiałych ludzi, wobec obojętnego męża.

Po pewnym czasie oswoiła się nieco, poduczyła języka, przyodziała nieco schludniej. Na szyi jej pojawiły się jakieś „modne" paciorki, na rozpłaszczonych nogach zalśniły pończochy ze sztucznego jedwabiu. Ale wyraz jej oczu był wciąż nostalgiczny, obojętność na sprawy domowe zupełna, niezainteresowanie się sprawami tego świata kompletne. Czem żyła ta kobieta?

Miłością. Niewzajemną miłością do Jana. Nauczyła się chodzić po sąsiadach i opowiadać wszystkim o swoim sercowym nieszczęściu. Stojąc pod oknem, bo nie śmiała wejść do kuchni, albo co najwyżej oparłszy się o futrynę drzwi, lała łzy obfite i niewyczerpane, opowiadając jak to się oni niegdyś z Janem kochali, aż „uż świeta za sobą nie widieli", jak przy księżycu objąwszy się chodzili, jak on ją całował, a całował, jak u niego zawsze żonka najpiękniejszą była. Zresztą sama wyznała, że żonką jego ślubną została niedawno, wszystkie dzieci ich

zostały spłodzone w niemałżeńskim stanie, a przedtem miała jeszcze kilkoro innych, z innego kochania. Starsza była od Jana od lat dziesięć, czy piętnaście, ale „lubow ta sierdieczna" tem ją silniej w posiadanie wzięła. „Ja tu przyjechawszy i co uwidziawszy! biadała. Toż u niego kochanka, ta Kowalskaja proklata. Ta nacóż on mnie tut z dietmi ciągał. Żebyż serce moje krwią opływało? Żeby te oczy moje od śloz oślepli? Żeby ja ręce na siebie nałożyć miała?"

Próżno starano się jej wytłomaczyć, że nie samą miłością człowiek żyje.

— Janowa, mówił ten i ów — mąż was tu sprowadził, żeby dzieci lepiej wychować, żeby im lżej było, żeby się uczyć mogły. Dla czego o dzieciach Janowa nie myśli? To jest przecież najważniejsze.

— Gdzie mnie tu najważniejsze. Ja swoich dzieciej kochaju, ale jaby ich wsiech potopić mogła, żebyż ten Jan mój mi swoją miłość wrócił.

— Janowo, mówiła sąsiadka, czegoż Janowa męża od siebie tyli świat puszczała, na trzy lata dała mu odjechać... Chłop młody, zdrów, to co Janowa myślała, że on do zakonników przystanie?

— Nu i puskaj, wołała Janowa, niech jemu i będzie, ale jak żona przyjechawszy, to on żonie przynależny. Jak ja tu przyjechawszy, to jemu nie z nią do karczmy chodzić, nie jej gościńce kupować. Jak my w zeszłe środę do Grodziska z nieju pojechali, on mnie i jej buty kupował. To jej nogę głaskał, w rękę palce brał, a pytał, przepytywał: „A dobrze? A nie ciasno?" A mnie to buty najtańsze dać kazał, nawet nie spojrzawszy jak ja ich na nogę kładła, i już, już bo kolejka odiediet. Aj, lepiej mnie już w ziemie leżeć, jak ja tego dożyć miała. A taki ja jej nie daruję, a ja jej i tak śmierć zrobię.

Ach ta „Kowalskaja"! Messalina popręska, nie z jednym tylko Janem się stowarzyszała. Janowa twierdziła, że każdy może mieć od niej wszystko. W „restauracji" przy plancie, wysychały magicznie litrówki wódki i nierzadko toczyły się bójki, którym z przenikliwymi piskami dumy i zadowolenia przyglądał się ten postrach żon w zielonej „meteorowej" sukni.

Jan, który już tylko akcentem zdradzał swoje białoruskie pochodzenie, dawał mi swoje racje:

— Jaż z żoną dwadzieścia lat żyję. Już i nie pora na lubienie. Niech dzieci chowa, domu dogląda. Toż pani sama widzi, jaka to gospodyni. Do domu wrócić niemiło. Ona i starsza mnie. To i serce gdzieindziej ciągnie. Mógł ja ją na wsi zostawić, o dzieciach zapomnieć, a i nie chciał. U mnie dzieci najważniejsze, nu niech i ona przyjedzie. Ale dlaczego jej z pretensjami wychodzić, babę młodą udawać? Czy jej się śniło o takiem życiu, jak tutaj ma? Toż i niech siedzi cicho. A ona mnie tylko skandały urządza, niech ją!

A jednak Janowa zwyciężyła. Wzięła się na niezawodny sposób pozbawionych ambicji, a opuszczonych żon i kochanek. Zamiast chłopa, zaczęła prześladować babę. Kowalska miała już odtąd wszędzie spotykać blade widmo z podkrążonemi oczami, owinięte szczelnie w chustkę. Janowa, jak zwykle zupełnie obojętna na codzienność i na tak błahe sprawy tego świata, jak dom i zdrowie dzieci, opętana miłością, oślepiona zazdrością, doprowadziła wreszcie do sławnego wybuchu w sklepiku, gdzie zrobiła publiczny skandal, zmieszała rywalkę z błotem i uzyskawszy ogólne poparcie, zatryumfowała w swojej legalności, prawowitości. Kowalska broniła się z początku, ale czując opinię wzburzoną przeciwko sobie, uciekła jak zmyta i wypędziła Jana, kiedy do niej przyszedł.

I oto w jakiś czas potem dopadła mnie Janowa odmłodzona, tryumfalna, w letniej sukni w kwiaty i palcie z futrzanym kołnierzem. Zmarszczki na jej twarzy nie znikły, usta były zwiędłe, jak dawniej, ale w oczach gorzał blask gorączkowego szczęścia. Zarażona już obyczajami dziwnego świata, do którego weszła, nosiła się młodo, skoro serce jej było młode. Weszłam z nią do izby. Było brudno po dawnemu. Jedno z dzieci leżało w gorączce. Pies, stojąc na dwóch łapach, wyżerał resztki z garnka ciśniętego na krzesło. Podarta marynarka Jana leżała w kącie na ziemi. Starszy chłopak gryzł spleśniałą kiełbasę. Janowa nie widziała tego wszystkiego. Przeniesiona w świat abstrakcji, niewidoma na to co ją otaczało, w swojem wyobrażeniu młoda, piękna, zakochana, uwolniona od dzieci i od nudnych zajęć gospodarskich, bujająca w czystych rejonach miłości, w odurzających oparach zmysłów, opowiadała mi o swojem obecnem szczęściu. Jan przestał widywać się z Kowalską. Wrócił do niej, do żony. Chodzi z nią. Kupił jej tę suknię, rozkładała starannie fałdy pseudojedwabnej sukni za osiem złotych. Więcej jeszcze. Z jej urywanych wyznań, z jej oczu skromnie spuszczonych wśród zwiędłej twarzy mogłam zrozumieć, że wrócił do niej, jako kochanek. „Jak dawniej, razem my pod ruku chodzim i tak mnie ciełujet jak dawniej" — wołała głośno, nie bacząc na dzieci, może i pragnąc, by one, jak i świat cały, były świadkami jej zwycięstwa.

— Ale on zaczął pić podobno? — zmącam jej zachwyt. Nie udawało się. Jej oczy błyszczały, jak przedtem.

— To i cóż pani, to i cóż. Chłop musi wypić. Na to i pracuje. On pijany wraca, ale wraca do dom, a ja na niego i czekam. A jak przyjdzie, to już i nie pójdzie, to już i przy mnie zostanie.

O prawdzie jej słów świadczyły liczne, a puste butelki, stojące w nigdy nie zamiatanym kącie. To żałosne, wódczane szczęście było dla niej bez chmurki. Jednako może zresztą byli upojeni: on gorzałką, ona miłością. Jednakiego zapomnienia szukali każdy w swoim narkotyku. Każde zdobywało zbawczą fikcję na swój własny sposób.

Jak wszystkie nieszlachetne zwycięstwa, zwycięstwo Janowej okazało się nietrwałe. Zaprzestała zwierzeń. Przygasła znowu i stoi gdziekolwiek, jak dawniej, z opuszczonemi rękoma, patrząc tępo przed siebie. Nie narzeka jednak, nie lamentuje. Jan co wieczór wraca do domu, nie wychodzi nigdzie. W niedzielę idzie z nią pod rękę do kościoła. Sprawia jej suknie, pończochy, palta. Nie gniewa się, że brudno, że nie ugotowane. Sam jak przyjdzie z roboty porządkuje i narządza razem z córką Martą, którą od niedawna sprowadzili do domu, z tą samą, która mieszkała z ojcem w pierwszych latach jego przyjazdu do Popręgów, jeszcze jako nieletnia dziewczyna. Potem poszła na służbę, teraz wróciła do domu wyręczać chorą i zapatrzoną w swoją miłość matkę. Ludzie gadają, że to właśnie Marta jest przyczyną przywiązania Jana do domu, że to się jeszcze zaczęło kiedy przyjechała do ojca, jako dwunastoletnia dziewczyna, ale potem go schwycił skrupuł i związał się z Kowalską.

Ale teraz, kiedy miałaby prawo drżeć i krzyczeć, mdleć i chwytać się za gardło z duszności, Janowa milczy. Czy dlatego, że wstyd, czy że bezradność? Czy że w gęstym tumanie wódki i kazirodztwa i jej się czasem okroi jakiś nieświeży ochłap tej miłości, która jest jedyną treścią jej życia? Czy że przez osobliwą transpozycję, córka to jest jakby ona sama? Że woli być kochana poprzez córkę, niż wcale? Czy że nawet cierpienie najokropniejsze, wstyd i rozpacz są lepsze, niż nieobecność kochanka, niż to gubienie go w niewiadomym świecie?

A może poprostu ważniejszy jest dla niej pozór szanowanej żony, niż istotna miłość. Może jej chodzi nadewszystko o opinię, a nie domyśla się zapewne, że ludzie tyle wiedzą. A jednak nie. Niema w niej tryumfu czelnej mieszczki, piorącej swoje brudy w domu. Oczy jej wpadnięte w głąb czaszki płoną tragicznie. Ciało jej wysycha, spowite w sztuczny krepdeszyn, jak w całun. Nie protestuje, nie walczy, bo wobec bliskiej ostatecznej rozłąki ze wszystkiem, tylko rozłąka doraźna jest jej straszna. Być razem, z nim, choćby z niepatrzącym, niekochającym, rozpalonym do innej, występnym, lecz widzieć go, słyszeć, czuć to jedyne ważne, póki się jeszcze widzi, słyszy, czuje. Wszystko jest szczęściem co od niego płynie, byle zbliska, a od tego nieszczęścia, to i tak się niedługo umrze.

Irena Krzywicka.

PRZED ZWYCIĘSTWEM TELEWIZJI

W chwili obecnej trzy nowe udoskonalenia techniczne znajdują się w stadium realizacji: film kolorowy, film plastyczny i telewizja. Trudno jest dzisiaj przewidzieć, czem będzie nowa Sztuka, która powstanie z połączenia w jedną, nierozerwalną całość wszystkich tych elementów. Czy obraz dźwiękowy, kolorowy, plastyczny i przenoszony na odległość będzie jeszcze filmem?

Problemy kolorowości i plastyczności obrazów kinowych nie wykraczają poza ramy kinematografii. Kolor, który już dzisiaj dochodzi do doskonałości w filmach rysunkowych, wydaje się być już dość bliski wprowadzenia w życie. Film plastyczny natomiast, mimo dobrych wyników prac Ludwika Lumière'a, znajduje się jeszcze w sferze eksperymentów, nieprzezwyciężenia olbrzymiej trudności, wynikającej z dwutorowości obrazu i wymagającej używania specjalnych okularów przez widzów.

Zagadnienie telewizji, wkraczające zarówno w dziedzinę radiofonii, jak i teatru czy prasy (przenoszenie na odległość klisz fotograficznych), najbardziej zaprząta umysły potentatów finansowych. Z jednej strony powstają w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii wielkie trusty, mające na celu sfinansowanie imprez telewizyjnych, z drugiej zaś strony przedsiębiorcy teatralni i filmowi bronią się rozpaczliwie przed triumfalnym pochodem telewizji, ogarniającej coraz szersze tereny.

Zamiar brytyjskiego broadcastingu nakręcania filmów własnej produkcji dla celów telewizji wywołał ostrą reakcję ze strony producentów i przemysłowców filmowych, którzy przeczuli w tym groźną dla siebie konkurencję. Czem prędzej więc dla aktorów i reżyserów, zjednoczonych w stowarzyszeniach branżowych, wydali zakaz brania udziału w filmach, nakręconych przez B. B. C. (British Broadcasting Comp.).

Prawdopodobnie opór przemysłu i spekulantów niewiele wskóra. Technika idzie niezmordowanie naprzód, nie oglądając się na ofiary. Przecież mamy, analogicznie do stanowiska, jakie zajęli brytyjscy filmowcy, przykład z niedawnej przeszłości. Kiedy powstały dźwiękowce, Komedia Francuska przeraziła się możliwości konkurencji i dyrekcja zakazała członkom zespołu występować w filmach mówionych. Z biegiem czasu poczęto stosować indywidualne zezwolenia, a dzisiaj członkowie Komedii Francuskiej mogą już swobodnie grać w obrazach filmowych.

Nic nie powstrzyma geniuszu technicznego w jego zwycięskim pochodzie.

Karol Ford.

W CUGLACH REALIZMU

(Na marginesie dyskusji o koloniach)

Deklaracja polska w sprawach kolonialnych złożona w Genewie była oficjalnym notyfikowaniem światu zainteresowania Polski tymi sprawami.

Deklaracja ta, motywując względami demograficznymi i ekonomicznymi dążenie Polski do ekspansji, nie precyzowała żądań Polski, ale była zgłoszeniem zawczasu przez Polskę gotowości do udziału w ewentualnej — a przewidywanej — międzynarodowej dyskusji na tematy kolonialne.

W kraju powiał bardzo ciepły prąd aprobaty dla męskiego ujawnienia naszych dążeń, mgliście zarysowujących się już zresztą w społeczeństwie od dłuższego czasu.

Ale dotąd ani konkretne żądania nasze, ani realny program nie są sprecyzowane. Cała akcja sprowadza się do uzasadniania naszej dynamiki państwowej i narodowej.

Obecnie jednak stan faktyczny jest taki, że szeroki ogół nie orientuje się czego właściwie żądamy i co możemy osiągnąć. Panuje pod tym względem zupełny zamęt pojęć.

Trzeba więc uprzytomnić sobie, że na świecie nie ma już terenów bezpańskich. Każda piędź ziemi już do kogoś należy. Nie można się oddawać złudzeniom, że ktokolwiek dobrowolnie lub na zlecenie Ligi Narodów ustąpi uboższemu bliźniemu bodaj skrawka swojej własności. Do posiadania kolonii można więc i obecnie dojść tylko tymi samymi drogami, jakimi dochodzili do nich i dawniej ci, którzy je dziś posiadają, tj. drogą podbojów. Debaty na te-

mat wejścia Polski na tę drogę grzeszyłyby brakiem realizmu politycznego.

Inna jest sytuacja w odniesieniu do mandatów Terytoria mandatowe nie stanowią własności państw, które nad nimi mandat sprawują i nie byłoby rzeczą nierealną dążyć do redystrybucji mandatów. Zachodzi tylko pytanie jaki zysk miałaby Polska z ewentualnego przydzielenia jej mandatu?

Trzeba pamiętać, że mandat jest z samego prawa *bezinteresowny* i nakłada na państwo mandatowe same obowiązki nie dając mu żadnych przywilejów materialnych. Dla państw posiadających już kolonie sprawowanie mandatu nad sąsiednimi terytorjami, może mieć duże znaczenie ze względu na zazębianie się interesów i wpływów. Dla nas te względy nie istnieją i dlatego piastowanie mandatu, nawet kategorii C, czyli najbardziej zbliżonego do posiadania kolonii na własność, nie rozwiązuje sprawy.

A jeżeli nie pretendujemy do kolonii na własność i nie mamy interesu ubiegać się o mandat kolonialny, to jakiż jest zasięg naszych zainteresowań kolonialnych?

Do zainteresowania się koloniami skłoniła nas dynamika wewnętrzna: przeludnienie, wstrzymanie emigracji, szukanie rozwiązań dla sprawy żydowskiej, brak surowców. Gdyby nie było tych przyczyn problem kolonialny mógłby dla nas nie istnieć. Tylko dlatego, że się dusimy, szukamy wyjścia. Ale wraz z nami duszą się inni. Cały świat się dusi i do nie dlatego, że nie wszyscy mają kolonie, ale dlatego, że i w metropoliach i w koloniach wytworzyły się warunki polityczno-gospodarcze uniemożliwiające szerszy oddech, swobodną wymianę ludzi i wartości.

Jeśli więc Polska w Genewie wysunęła pewne dezyderaty, to nie przemawiał przez nią bynajnajmniej imperializm i apetyty na cudzą własność, ale zrozumienie, że warunkiem wyjścia z błędnego koła światowego marazmu jest wyzbycie się dotychczasowego sobkostwa ekonomicznego, fikcji rzekomej samowystarczalności, czyli sprawiedliwy podział surowców, (Anglia już przed tem czyniła do tego aluzje), udostępnianie wszystkim możności ekspansji ludnościowej, zniesienie barier celnych i przywrócenie wolnego obrotu towarów i kapitałów.

Nie cudzych terytoriów kolonialnych na własność dla siebie szukamy, ale otwarcia tych terenów zarówno dla swobodnego przenikania ludzi, towarów i kapitałów jak też i jako źródła surowców, których jesteśmy pozbawieni.

O rozmiarach ruchu ludności, towarów i kapitałów stanowić może jedynie wewnętrzna prężność kraju i tylko wewnętrzna chłonność kraju decydować winna o rozmiarach importu surowców.

I to ma na celu wygranie przez Polskę miejsca przy stole obrad nad szerszym udostępnieniem tych ogólnych korzyści, jakie w wyniku akcyj dyplomatycznych i ewentualnej koniunktury międzynarodowej byłyby do osiągnięcia

St. Czosnowski.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NAJBLIŻSZE ZADANIA SOCJALIZMU POLSKIEGO

Rada Naczelna Polskiej Partii socjalistycznej po dwudniowych debatach nad położeniem obecnym w kraju powzięła uchwały, które podajemy w streszczeniu poniższym:

1) prowadzić nieprzejednaną walkę ze wszystkimi siłami reakcji, ściśle sprzymierzonej z faszyzmem pod wodzą obozu „narodowego", który dawniej był forpocztą reakcji rosyjskiej, obecnie zaś spełnia tę samą rolę, jako naśladowca i wierny sojusznik faszyzmu międzynarodowego; doceniając jego niebezpieczeństwo dla Polski, o czym świadczy już irredenta hitlerowska na Śląsku i w powiatach graniczących z „Trzecią" Rzeszą oraz pogwałcenie w Gdańsku praw Rzeczypospolitej Polskiej, uznać za naczelne hasło walkę z faszyzmem „narodowym" i z dyktaturą;

2) domagać się niezwłocznego rozwiązania Sejmu i Senatu, oraz rozpisania czystych i demokratycznych wyborów;

3) umacniać ścisłą współpracę chłopsko-robotniczą, stojąc na stanowisku wspólnego frontu P. P. S. i Stronnictwa Ludowego;

4) odrzucić możliwość współpracy P. P. S. z partią komunistyczną, która stosuje metody dywersji w ruchu socjalistycznym, która uznaje „jednolity front" wszędzie, tylko nie w Rosji, uznaje współpracę z socjalistami wszędzie, a w Rosji prześladowania i więzienia i zbiorowy mord.

5) postawić siłę obronną Polski na takim poziomie, aby mogła w każdej chwili odeprzeć grożące jej z zewnątrz niebezpieczeństwo, i jednocześnie prowadzić zdecydowanie politykę bezpieczeństwa zbiorowego, oraz sojuszów obronnych wspólnie z krajami demokratycznymi Europy. P. P. S., stojąc, jak zawsze na stanowisku obrony Niepodległości, oświadcza, że lud pracujący Polski, związany tradycjami własnych wysiłków zbrojnych z okresu niewoli i przy powstawaniu pierwszych zaczątków Wojska Polskiego, nie rezygnuje ze swoich praw do decydowania o sile obronnej Państwa, której rozwój możliwy jest jedynie w warunkach pełnych swobód i praw obywatelskich polskich mas pracujących, i w warunkach nowej planowej gospodarki społecznej.

ICH BOHATER

Dziennik Popularny donosi:

„Uniwersytet Krakowski stał się widownią demonstracyj młodzieży endeckiej, która po odbytym zgromadzeniu, manifestacyjnym pochodem udała się pod więzienie św. Michała, gdzie jest uwięziony Doboszyński, niefortunny „zdobywca" Myślenic.

Licznie zgromadzona młodzież socjalistyczna i postępowa odpowiedziała na burdy endeków samorzutną kontrmanifestacją.

Doszło do licznych zajść, które zlikwidowała policja przy pomocy pałek.

Na wyższych uczelniach hydra endecka podnosi znowu głowę. Lecz jako jej przeciwstawienie wyrasta druga siła — jest nią front młodzieży niezamożnej, który swą zdecydowaną postawą coraz częściej poskramia burdy endeckich awanturników.

Stwierdzić należy fakt znamienny, że zarówno „liczebność" demonstracji, jak i jej „bojowy" charakter świadczy o coraz większym zaniku wpływów panów Salskich u ich krakowskich kolegów".

JAKA AUTONOMIA?

Po wkroczeniu policji na teren paru wyższych uczelni, odezwały się głosy w obronie „zagrożonej autonomii" tych uczelni. Z tego powodu pisze tygodnik akademicki *Dekada:*

„Autonomia nie ma nic wspólnego z wolnością... warcholenia. Autonomia nie może być tarczą ochronną dla tych, którzy wykraczają poza legalne formy walki o przekonania; nie może być parawa-

nem, przesłaniającym wykroczenia przeciw zasadom etyki. Pojęciem autonomii nie można bronić bezkarności w rozbijaniu biur, w rzucaniu bomb łzawiących czy świec dymnych, w kaleczeniu kolegów, w nachodzeniu gmachu szkolnego nie z podręcznikiem naukowym i kajetem do zapisywania wykładów, a z rewolwerem czy kastetem.

I dlatego też trzeba bardzo dokładnie rozróżnić swobodę nauki od — swawoli, niepraworządności i przestępczości.

Za wolnością nauki opowiadają się wszyscy. Ale za warchołami i sprawcami krwawych ekscesów stają tylko ci, którzy radziby widzieć Polskę w odmętach anarchii. Bo zdaje im się, że ten sposób prowadzi do raju utraconej władzy...

Jakie zawodne są te nadzieje! Ta droga wiedzie co najwyżej do konfliktu z obowiązującymi wszystkich obywateli prawami i do wysnucia dla sprawców konsekwencji z tego konfliktu..."

REJESTR OSZCZERSTW

Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce wydała 8-stronnicową ulotkę p. t. „Dzieje dwóch miesięcy. Pod znakiem — delacji i oszczerstw". Mamy tu obfity rejestr oszczerstw i kalumnij, rzucanych na tę instytucję. Przytaczamy jeden z przykładów niecnej kampanji:

„Systematyczny obstrzał Ligi, wzmógł się zwłaszcza po straceniu w Moskwie 16 „trockistów" w nocy z 23 na 24 sierpnia r. b.

W tej sprawie w dniu 29 sierpnia r. b. odbyło się plenarne posiedzenie Zarządu Głównego, które uchwaliło głośne już oświadczenie w sprawie masakry moskiewskiej. Oświadczenie to, ogłoszone w dniu 30 sierpnia r. b. w „Robotniku" warszawskim, przedrukowało potem wiele pism („Naprzód", „Łodzianin"; „Kurier Wileński", „Czas", „Epoka", „Trybuna Robotnicza" i t. d.).

Mimo ogłoszenia tego oświadczenia, szereg pism wystąpił z gwałtownemi atakami na Ligę. „Dziennik Poznański" z dn. 4 września r. b. pisze np.: „Pozwalamy sobie nadto zwrócić uwagę ultra-humanitarnych panów z Ligi, że w dniach ostatnich rozstrzelano w Moskwie, po nędznej tragikomedji procesu, szesnastu wybitnych komunistów z niejakim Zinowjewem i Kamieniewem na czele. Sądzimy, że przydałby się, szczególnie w tym wypadku, energiczny protest. *Wiemy jednak z całą pewnością, że Liga takiego protestu nie ogłosi* (podkreślenie nasze). Dlaczego? Bo jest organizacją w 100% komunistyczną".

Podobnie w dniu 5 września r. b. inne pismo prowincjonalne, „Dziennik Bydgoski": „Jest więcej, niż pewnym że przeciw terorowi moskiewskiemu Liga się na żaden protest nie zdobędzie. Za to głos powinny zabrać władze polskie i raz na zawsze skończyć z bezkarną dzoiałalnością tych jaczejek rozkładu, stojących wyraźnie na żołdzie Kominternu. Dla Ligi Obrony Praw Człowieka nie może być w Polsce miejsca!"

Nic to, że protest Ligi ukazał się już w druku 30 sierpnia! W podobny sposób napadły na Ligę w pierwszych dniach września poza innymi drobniejszymi pisemkami, „Czas" i „Wiadomości Literackie". Podczas gdy, co lojalnie stwierdzić trzeba, dwa te pisma przyznały się do przeoczenia i wydrukowały cały tekst oświadczenia Ligi, nałogowi oszczercy i kalumniatorzy nabrali wody do ust i nie uważali za stosowne powiadomić swych czytelników o tem, że niesłusznie oczernili Ligę. Ale działoby się u nas zbyt dobrze, gdyby było inaczej!"

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3142 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.